Nr. 5. Warszawa, dnia 30 (18) Stycznia 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Dnia 24 stycznia zakończył życie Jego Cesarska Wysokość, generał-admirał, były namiestnik Królestwa Polskiego (1862—3), Wielki Książę Konstanty Mikołajewicz, w wieku lat 65.

POLITYKA.

PRZEBRANA MIARKA.

Przerzucono karty kronik dziejowych — i podobnego wypadku nie znaleziono w przeszłości. Nigdy jeszcze minister nie spoliczkował deputowanego w sali parlamentu podczas obrad. Uczynił to po raz pierwszy w historyi Constans z bulanżystą Laurem. Jeżeli coś jeszcze nie zdarzyło się pod słońcem, czy można dziwić się konstytucyi francuskiej, że ona takiego wypadku nie przewidziała? Art. 29 regulaminu powiada tylko: „Jeżeli wewnątrz gmachu prawodawczego *poseł* dopuści się przestępstwa, prezydujący powinien zawiadomić o tem prokuratora.“ Poseł — ale nie minister. To też spoliczkowany, gdy rzuconą w Constansa książką trafił w siedzącego za nim deputowanego, gdy od Rocheforta z Brukselli otrzymał depeszę, zakazującą mu pojedynkowania się z „mordercą i złodziejem“ (są to tylko ozdoby stylowe), gdy potem odebrał od niego rozkaz wyzwania ministra, który pojedynku nie przyjął, gdy prezes Izby Floquet odmówił mu przedstawienia sprawy prokuratorowi — biedny warchoł nie miał czem zetrzeć z twarzy dwu sińców po dwu mocnych pięściach. W prawdzie osobniki tego gatunku mają ucieczkę do swej prasy, mogą w niej pod rynnami błota postawić przeciwnika i oblewać go, dopóki im się podoba, ale ponieważ robią to ciągle, nawet bez policzków, więc ten środek nie nadaje się do wyjątkowego zadośćuczynienia. Zresztą publiczność tak przywykła do języka Laurów i Rochefortów, szafujących wyrazami: „truciciel, morderca, złodziej“ itp. w celach prostej dosadności, że nowy potok wymysłów nie zrobi na niej wrażenia. Czy Izba francuska, zaskoczona nieprzewidzianym wypadkiem, nie pomyśli o podciągnięcie go na przyszłość pod jakiś przepis prawny — nie wiemy; dość, że obecnie nie ma dlań ustawodawczej kategoryi i musi pozwolić, ażeby policzek ministeryalny przyschł na obliczu poselskiem bezkarnie.

Zresztą takiemu załatwieniu sprawy sprzyja opinia publiczna. Pomimo odrazy do niebywałego skandalu, większość dzienników staje po stronie Constansa — nawet surowy *Temps*. „Cierpliwość — powiada *République française* — jest niewątpliwie cnotą, ale do pewnego stopnia cnotą filozoficzną. Mówimy o aniołach cierpliwości, nie słyszeliśmy jednak o bogu cierpliwości. A gdyby taki bóg istniał, z pewnością, doprowadzony do ostateczności, dawno już sprawiłby pierwszemu potwarcy, któryby mu wpadł pod rękę, takie trzepanie, jakie dostał Laur.“ I *Paix* uznaje to za naturalne, że minister nie mógł się oprzeć uzasadnionemu gniewowi. J. Ferry pisze w *Estafette*: „Wypadek ten jest niebezpieczny dla oszczerców. Nikt w Izbie, zarówno na prawicy jak na lewicy, nie miał ani słowa nagany dla ministra. Są przeciwnicy, wobec których wszelka taktyka przyzwoitości parlamentarnej jest bałamuctwem. Nawet lekceważenie nie pomaga; na nich potrzeba dowodów fizycznie przekonywających. Tak sądziła Izba i jednomyślnie pochwaliła postępek ministra.“ *Lanterne* mówi: „Jeżeli ktoś nie zna innej formy rozumowania, prócz wymysłów, jeżeli dla pokonania przeciwnika codziennie nazywa go złodziejem i mordercą, to trudno, ażeby się spodziewał grzecznej odpowiedzi.“ Nawet gazety nieprzychylne Constansowi usprawiedliwiają jego uniesienie. Tylko bardzo nieliczne głosy (między niemi *Figara*) odezwały się przeciw niemu. Słowem, rzec można, że opinia publiczna pochwaliła ministrowi spoliczkowanie posła.

Mimo to sam fakt pozostaje wysoce skandalicznym i nawet dla obrońców Constansa nader przykrym. Zdradza on bowiem poważną chorobę, rozszerzającą się coraz bardziej w narodzie francuskim — mianowicie nadużywanie publicznego słowa. Pewne żywioły, których wodzem i mistrzem jest Rochefort, tak rozkiełznały swój język, że już dla nich nie ma zarzutu, któryby był zbyt ciężki, obelgi, któraby była zbyt krzywdzącą, brutalstwa, któreby było zbyt rubasznem. Morderca, złodziej, gwałciciel, zbrodniarz, sodomita, zdrajca—cały ten ohydny słownik wyczerpywany jest z taką swobodą, jak gdzieindziej zasób delikatnych przycinków. Wszystkie zaś zniewagi nie są miotane na jakąś czerń podejrzanego charakteru, ale na przedstawicieli narodu, na piastunów władzy, na ludzi, którzy powołani zostali do sterowania państwa szczególną ufnością ziomków. Czy podobna sobie wyobrazić, ażeby w jakimkolwiek kraju europejskim najwyższe godności obywatelskie spoczywały w rękach ludzi, którzy popełnili wszystkie zbrodnie, na jakie zdobyć się może natura człowiecza, ażeby ministrowie byli to mordercy, truciciele, złodzieje itd.? A jednakże o tem codziennie zapewnia swych czytelników Rochefort i spółka. Rzeczywiście nawet ci czytelnicy nie biorą tych wymysłów literalnie i uważają je za pieprz stylowy; jaka wszakże atmosfera moralna wytwarzać się musi tam, gdzie ogół karmiony jest takiemi dziennikarskiemi trychinami z obfitą domieszką bezeceństw innego rodzaju, czerpanych z rozpusty. Constans, przepraszając Izbę za swój wybuch, zaznaczył, że są wypadki, w których niepodobna zachować zimnej krwi. Istotnie. I on jest człowiekiem; czy zaś można wymagać od człowieka, zwłaszcza na stanowisku ministra, ażeby on cierpliwie służył za spluwaczkę oszczerstwu i ażeby tylko ocierał sobie spokojnie z twarzy ślinę najstraszniejszych obelg? Musiał nareszcie zapomnieć o tem, gdzie jest i kim jest, o całej jaskrawości skandalu, o wszystkich względach dobrego tonu i przepisach regulaminu. Co on zrobił, to jest gorszące, ale ludzkie. Opinia, osłaniając go swem skrzy-

dłem, bezwiednie uznała, że w łonie narodu dojrzał proces rozkładowy, którego taki wynik był nieunikniony. Czy jednakże te policzki parlamentarne — a było ich więcej — czy cały ten okropny „jurnée des giffles“ nie pobudzi francuzów do obmyślenia wędzideł dla Rochefortów i Laurów, do zatamowania tych najbrutalniejszych napaści i wymysłów, które płyną szerokim kanałem prasy? Nie dość uzupełnić regulamin artykułem, określającym odpowiedzialność ministra za spoliczkowanie posła, należy zapobiedz, ażeby nie otwierali za szeroko potwarczych ust posłowie, zasługujący na spoliczkowanie.

Z AUSTRYI.

Traktaty handlowe w parlamencie. — Mowa ministra Bacquehema. — Ustąpienie dr. Bilińskiego.

Główny przedmiot Rady państwa po przerwie spowodowanej świętami stanowiły traktaty handlowe. Rozprawy trwały osiem dni, 78 mówców zapisało się do głosu. Oddawna obrady parlamentarne nie budziły tak żywego zajęcia, a galerye były przepełnione. Przeciw przyjęciu traktatów występowali głównie antisemici, polując na tanią popularność. Punktem szczytowym dyskusyi była mowa ministra handlu i komunikacyi, Bacquehema, który twierdził, że rząd austryacki podpisał umowę nie pod wpływem jakiegokolwiek nacisku zewnętrznego, lecz jedynie w interesie gospodarczego ubezpieczenia i rozwoju państwa. Zbijając twierdzenia antisemitów, dowodził, że one dziś już są popularne w Austryi, że wielcy przemysłowcy, chociaż w niektórych względach znaczne ponoszą straty, sami przykładali rękę do przeprowadzenia unii celnej. Minister zganił postępowanie partykularzystów, którzy gorszą się materyalnemi korzyściami, jakie odniosą Węgry, zaznaczając, że bogactwo i powodzenie ekonomiczne tego kraju ma wielką dla Austryi wagę zarówno w czasach pokojowych, jak wojennych. W końcu zwrócił uwagę posłów na tę okoliczność, że traktaty handlowe są wyrazem polityki austro-węgierskiej, która dba o utrwalenie przymierza z Niemcami i Włochami. Mowa Bacquehema odniosła skutek doraźny; nazajutrz dyskusyę zamknięto i przystąpiono do głosowania, którego wynikiem było przyjęcie traktatów przez parlament.

W tych dniach Koło galicyjskie żegnało ucztą dr. Bilińskiego, obejmującego urząd prezesa austryackich kolei państwowych. Naprzód przemówił przewodniczący, Jaworski. Biliński opowiedział dzieje swej karyery. Kiedy jako profesor ekonomii wybrany został do parlamentu, przeciwnicy jego wysłali z Galicyi denuncyę do najbardziej wpływowych członków Koła. Ostrzegano przed nim jako przed człowiekiem niebezpiecznym. Grocholski nie dopuszczał go do ważniejszych komisyj; dopiero w drugim roku wybrano go do komisyi kolejowej. Powołanie na wybitne stanowisko zawdzięcza jedynie Kołu. Z przykrością porzuca katedrę, lecz z drugiej strony chętnie obejmuje zaofiarowaną mu pozycyę, aby dowieść, że zaufanie rządu jest uzasadnione. Spodziewa się, że zdoła dla kolejnictwa austryackiego zdziałać to, co Dunajewski zrobił dla finansów. Praw, ktare rząd przyznał Galicyi, strzedz będzie z całą sumiennością, a również dbać o to, aby dostawy dla kolei galicyjskich polecano przemysłowcom miejscowym. Wreszcie zapewniał, że w miarę środków postara się o wybudowanie nowych linij.

S-z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Pomimo napomnień ze strony papieża, kler francuski rwie się gwałtownie do walki z rządem i pragnąłby wywołać rodzaj „kulturkampfu.“ Czuje on, że sprawy doczesne toczą się i rozstrzygają zbyt niezależnie od niego, że wyszedłszy zwycięzkim ze starcia, mógłby on, jak ultramontanizm niemiecki, dyktować warunki państwu. Pięciu biskupów ogłosiło manifest, w którym określają swoje stanowisko — że tak powiemy — zbrojnego pokoju. Chcą uszanować istniejącą formę rządu, ale ostrzegają go, ażeby nie wkraczał w dziedzinę kościelną; radzą wiernym uległość, ale zachęcają do nieszanowania praw przeciwnych interesom duchowieństwa. Odezwa ta była wielką niespodzianką dla rządu, który po porozumieniu się z Leonem XIII mniemał, że wyższy kler francuski został powstrzymany w swym rozpędzie wojowniczym.

Projekt reformy szkolnej w Prusach podpalił namiętności bardzo mocnym ogniem. Jest on ogromnem ustępstwem na rzecz duchowieństwa i jego partyi sejmowej (centrum). Kto jest jago ojcem? Czy cesarz, czy kanclerz Caprivi, czy sam minister Zedlitz? To pewna, że zaraz w łonie gabinetu spotkał się z silnym oporem. Najmniej musiał on przypaść do gustu ministrowi skarbu, Miquelowi, przywódcy narodowo liberałow, którzy przecie wywołali słynny „kulturkampf.“ To też rozeszła się pogłoska, że Miquel poprosił o dymisyę, której cesarz na razie odmówił mu, gdyż go wysoko ceni, a kiedyś nazwał „swoim człowiekiem.“ Naturalnie cała lewica sejmu pruskiego usiłuje odeprzeć ten zamach na świeckie prawa szkoły i podnosi wrzawę, która nie zmieni rezultatu głosowania (centrum i konserwatyści tworzą dostateczną większość), ale wywoła w narodzie wrzenie długotrwałe. Liberalni twierdzą, że rząd wyrzeka się swych praw do szkoły bez należytej świadomości skutków tego kroku. Istotnie, jeżeli po za tą rezygnacyą nie kryje się jakaś rachuba polityczna (np. przyciągnięcie papieża do potrójnego sojuszu), to przypuszczenie opozycyi jest najzupełniej słuszne.

Sejm niemiecki przyjął traktat handlowy ze Szwajcaryą. We wszystkich prawie parlamentach europejskich toczą się rozprawy polityczno-handlowe. Tu zatwierdzają umowy, tam myślą o zróżniczkowaniu, podniesieniu lub obniżeniu taryf, wszędzie odbywa się przyspieszona robota nad wielkiem przekształceniem stosunków ekonomicznych zapomocą zmiany stosunków celnych.

Stambułow ranił się sam rewolwerem, który przypadkowo wystrzelił. Kula utkwiła w udzie, a dla wyjęcia jej wezwany został z Wiednia dr. Bilroth, który posłał swego pomocnika. Rana ma być ciężka, ale nie groźna.

W zeszłym tygodniu prawdopodobieństwo szybkiej śmierci papieża było tak wielkie, że oczekiwano jej lada chwila. Leon XIII znowu odzyskał siły, ale widocznie dopalają się ostatnie krople jego życia. Powoli usuwa się ze świata samą starością.

Cesarzowa austryacka utraciła matkę, księżnę Ludwikę bawarską. Dwór przeto wiedeński w krótkim czasie okrywa się czwartą żałobą.

Kristian Winterhjelm *)

(J. Norman).

DZIECI LUDU.

— Proszę, proszę, alcż śmiało panie adwokacie — jedna cena! Pani Kjerke bierze półtorej korony za ciepłe śniadanie, bez względu na to, czy pan zje dużo, czy mało! Krępować się więc nie ma potrzeby — mówił członek stortingu **), Granholt. Prawdopodobnie, dla zilustrowania swojej przemowy, Granholt ułożył drugi befsztyk na talerz, przykrył go plastrem zimnej szynki i wielkiem osmażonem jajem, poczem pogrążył się w rozmyślaniu nad tem, czy wziąć jeszcze trzeci kieliszek wódki, czy też pozostać przy piwie bawarskiem.

Wreszcie zdecydował się na piwo.

— Widzi pan, za trunki płaci się osobno, ale jedzenie! Jak powiedziałem, bierz pan, śmiało!

— Jaki przecudny dzień letni, doprawdy! Wyjrzyj pan tylko — niebo jakby drgało, a jakie białe — pewnie wskutek upału!

Tak odezwał się adwokat Knorterud, od niedawna dopiero w powięcie tym osiadły, niewielką więc mający praktykę.

— Tak, rzec można, że widzisz, jak trawa rośnie — odparł Granholt. W tym roku zbieramy plon obfity.

Mówił, czyniąc jednocześnie największy wysiłek, aby befsztyk, jajko i szynkę razem do ust wsunąć. Eksperyment udał się niezupełnie, podczas gdy więc Granholt zajęty był ocieraniem ust i brody serwetą, Knorterud zauważył:

— Plon obfity, a jaki piękny!

— Piękny! Masz pan racyę! A spojrz no pan, jak tam na końcu lasu bawią i ćwiczą się chłopcy. Tak, zobaczy pan, teraz, gdy lud doszedł już do władzy, to i z tych oto robaków będzie pociecha! Popatrz pan tylko na nich: dziś, to niby maleństwa, lecz kiedyś będą z nich siłacze. Boże mój, ilekroć tak siedzę i patrzę na te dzieci ludu i pomyślę sobie, że to i my ledwie zdołaliśmy ujść władzy biurokratów i ciemięztwu, wtedy... ho... tak, tak, mój Boże!

— Dla kraju naszego nastał wielki okres! — odrzekł Knorterud uroczyście.

— Tak jest, możesz pan to śmiało twierdzić. Bóg jest wielki, mówią turcy, lecz to samo i my powiedzieć możemy. Bo teraz panowanie wielkich panów skończone, skończone i — na zawsze!

— Najpiękniejszą zaś stroną nowej epoki jest to, że wracają do praw maluczcy i uciśnieni — dodał Knorterud. Najuboższy robotnik może dziś dumnie podnieść głowę, może pracować w imię szczęścia i samodzielności swojej. Prawa ludzkie — jeżeli tak mi się wyrazić wolno — i wielka wspólna praca wejdą teraz na nowe tory pod opieką i godłem prawdziwej miłości bliźniego i wzajemnego szacunku: dzieci ludu, jak pan powiada, będą mogły teraz...

— Tak, tak, zupełnie, jak pan powiada — przerwał mu Granholt, zakładając serwetkę wyżej koło szyi i ściągając ją jednocześnie na pokaźny brzuszek — tak, tak, lecz mówmy o czem innem. Co to ja chciałem powiedzieć, aha, pan coś kiedyś prawił o jakimś projekcie wprowadzenia ubezpieczeń dla robotników, który ma być wniesiony... Otóż jest to pewnie znowu jakaś łapka, zastawiona na nas przez prawicę. Bo, rozumie pan, dziś, kiedy my przeszliśmy do opozycyi, oni imać się będą wszystkiego, o czem przypuszczają, że nas w przykre prowadzi położenie!

— No, ale jednak, zdaje mi się, że ubezpieczenia takie...

---

*) Ur. 1843 r., nalcży, obok Kiellanda, do najwybitniejszych przedstawicieli partyi, która stara się wprowadzić do Norwegii prądy kultury europejskiej. Podobnie, jak Kielland, liryzmu nie zna, zna tylko satyrę, ostrą, gryzącą, lecz sprawiedliwą. Opowiadanie powyższe wyjęte jest ze zbiorku „Intermezzo.“ *Przyp. tłom.*

**) Rada państwa.

Zatarg między Stanami Zjednoczonymi a Rzecząpospolitą chilijską dobiega do końca. Rząd tej ostatniej zgodził się na uznanie okólnika, rozesłanego w grudniu przez jej b. ministra spraw zagranicznych, za niewłaściwy i obrażający dla władz wykonawczych Unji.

BADANIA NAUKOWE.

CZŁOWIEK W PRZYRODZIE.

(według Topinarda).

Topinard, jak wiadomo, jest dzisiaj najwybitniejszą powagą naukową w zakresie nauki o człowieku fizycznym, a dwie dotychczasowe większe jego prace — jedynymi istniejącymi podręcznikami antropologii właściwej. Świeżo ukazała się nowa książka *), przypominająca i nazwą i treścią znaną pracę Huxleya, którą posiadamy też w naszym języku (*O stanowisku człowieka w przyrodzie*). Atoli Topinard traktuje przedmiot daleko szerzej i w sposób bardziej wyczerpujący, a nadto na podstawie ostatnich wyników wiedzy.

Zresztą praca Topinarda, jako przeznaczona dla szerszych kół, porusza wiele pytań tylko mimochodem. Pierwsze rozdziały, poświęcone dziejom antropologii, przedmiotowi tej nauki i stosunkowi jej do innych, zasadniczym pojęciom i metodologii, kraniometryi itd. są jedynie popularnem streszczeniem jego *Eléments d'anthropologie générale;* następnie autor zajmuje się takiemi kwestyami, jak wyznaczenie stanowiska człowieka wśród skali klasyfikacyjnej ssaków, porównawczy rozwój ich mózgu, zwłaszcza zaś wśród rzędu prymatów (naczelnych) i równoległy rozwój pokrywy czaszkowej, ewolucya stopniowa prostej podstawy i zróżniczkowania się rąk i nóg, Pomijamy sprawozdanie drobiazgowe, które mogłoby obchodzić jedynie szczupłe koło specyalistów, i zatrzymamy uwagę czytelnika jedynie nad kilku ogólniejszego charakteru zagadnieniami. Przedewszystkiem winniśmy zaznaczyć, że Topinard w najnowszem swem dziele zajął stanowisko nieco odmienne od dotychczasowego. Antropolowie francuscy od kilku dziesiątków lat rozpadają się na dwa współzawodniczące obozy, żeby nie powiedzieć koteryc, do różnic bowiem czysto naukowych dołącza się mnóstwo innych względów, nie wiele mających wspólnego z czystą wiedzą. Jedna grupa trzymała się zawsze teoryi przemiany gatunków, a w zacietrzewieniu gotowa była zetrzeć wszelkie różnice pomiędzy człowiekiem a małpami człekokształtnemi. Człowieka stawiała jako pierwszą rodzinę wśród rzędu prymatów, bliższą drugiej — małp człekokształtnych, niż ta dalszych — małp nowego lądu i lemurów. Druga zachowywała się natomiast, a w osobie Quatrefagesa do ostatniej chwili, dość powściągliwie, nawet niekiedy wrogo względem owej teoryi. Przyznawała ona wszystkie podobieństwa anatomiczne i fizyologiczne, lecz nie wyciągała żadnych wniosków w kierunku pochodzenia. Człowiekowi dawała stanowisko odrębne od rzędu prymatów. Otóż Topinard był kiedyś przedstawicielem pierwszego odłamu, tymczasem w najnowszej swojej pracy zbliża się do ostatniego. Nie wydziela on jeszcze rodu ludzkiego jako rząd odrębny, ale tworzy dlań szczególny podrzęd śród prymatów, przedzielony większą przepaścią od małp człekokształtnych, niż te od innych rodzin prymatów. W związku z tem znajduje się rodowód, jaki człowiekowi wyznacza badacz francuski. Kiedyś, pod wpływem uniesienia, wywołanego przez teoryę Darwina, w anatomicznem i przychologicznem podobieństwie, istniejątem pomiędzy człowiekiem a małpami człekokształtnemi, usiłowano widzieć dowody faktycznego pokrewieństwa rodowodowego, a nawet w tych ostatnich jakby zakrzepłe obrazy naszych przodków. Nowsza antropologia patrzy z niejakiem niedowierzaniem na te twierdzenia. Wykazuje ona, iż np. ręka tylna małp człekokształtnych a noga ludzka są wykończonemi ogniwami dwóch zgoła odmiennych procesów rozwojowych i że pomiędzy niemi niepodobna wyobrazić sobie przejść pośrednich. Nadto czaszka małp człekokształtnych zbliża się do ludzkiej tylko w młodości, oddala w wieku dorosłym, a jednocześnie istnieje mnóstwo rysów u bardziej nizkich rodzin rzędu prymatów, pokrewnych czaszce ludzkiej. Nie wchodząc w szczegóły, zaznaczamy, że obecnie przeważa w nauce mniemanie, że zarówno człowiek jak i grupy małp człekokształtnych są wytworami zgoła niezależnych rozwojów, spotykających się może dopiero daleko wstecz, na tym szczeblu, kiedy z pośród prassaków poczęła się różniczkować grupa lemurów. Dzisiejsze więc podobieństwo bynajmniej nie dowodzi istotnego pokrewieństwa. Jednocześnie nastręcza się tu inne zagadnienia — o pojedynczem lub wielorakiem źródle powstania rodu ludzkiego. Topinard wśród tegoczesnej ludzkości wyróżnia do 8 typów odmiennych: blondyna europejskiego, bruneta semito-śródziemnomorskiego, krótkogłowca azyatyckiego, długogłowca azyatyckiego, amerykano-polinezyjczyka, gładkowłosego człowieka czarnego, krótkogłowca murzyńskiego i murzyna długogłowego. Lecz wyliczywszy te typy, rzuca zarazem pytanie, czy należy je uważać za niezależne od siebie rodowodowo i o ile kształty czaszki, wysokość wzrostu itd. nie ulegają zmianie w przeciągu wieków? Otóż przypuszcza, że można je wszystkie sprowadzić do trzech zasadniczych postaci europo-semickiej, azyato- amerykańskiej i murzyńskiej, a nawet do dwu, azyato-amerykańskiej i murzyńskiej, gdyż przez typ australo-kształtny gładkowłosy, można dojść do bruneta śródziemnomorskiego i w dalszym ciągu blondyna. Lecz czy dwie te zasadnicze postacie rozwinęły się z tego samego pnia, lub też z różnych, jest to kwestya, zdaniem Topinarda, zgoła dzisiaj nierozwiązalna. Oba przypuszczenia są jednako prawdopodobne. Między innemi też antropolog francuski usiłuje uchylić nieco zasłonę, pokrywającą przyszłe losy ludzkie pod względem organicznym. Czy człowiek doszedł już do ostatecznego punktu rozwoju, czy też posunie się jeszcze dalej? Topinard do tego pytania powraca kilkakrotnie w różnych ustępach swego dzieła. Na niem też kończy swoją książkę. „Co do mnie — powiada — bynajmniej nie wątpię, iż objętość mózgu zyska w przyszłości bardzo wiele pod względem równowagi głowy i harmonii pojedynczych jej części. Jego zrazy przednie zwiększą się, tak iż oś ciężkości będzie przechodziła w pośrodku czaszki lub nawet jeszcze bardziej ku przodowi. Długogłowość bezwarunkowo ustąpi miejsca powszechnej krótkogłowości. Lecz przedewszystkiem udoskonaleniu postępowemu ulegną komórki. Niepodobna w tej mierze nakreślić żadnych granic; człowiek może spodziewać się, iż dojdzie do ideału budyjskiego. Kiedy podniesie się tak wysoko pod

*) *L'homme dans la nature*, Paryż (w Bibliotece międzynarodowej F. Alcana).

— No, no, kochany adwokacie! — przerwie mu Granholt ponownie, patrząc na niego znacząco swemi małemi, siwemi oczkami — znać, żeś jeszcze bardzo młody! Ale przyjmij pan ode mnie dobrą radę; bawisz w naszej okolicy od tak niedawnego czasu, że nie możesz jeszcze wcale, jak to mówią, dobrze znać nastroju. A my, stare wróble, pojmujesz pan, zebraliśmy wiele doświadczenia; dlatego też najlepiej dziś wiemy, co nam potrzebne do szczęścia, co się nam przydać może itd. Ale należy być umiarkowanym; widzi pan, wolność jest bardzo piękną rzeczą, dlaczego nie, to rzecz doskonała, nic przeciwko niej nie mam, lecz nie trzeba jej nadużywać! Naturalnie, dobrej rady za złe mi pan nie bierz. Ja tu się rodziłem, panie, i — zdaje mi się, że nastrój znam.

Knorterud nie odpowiedział. Wyglądał oknem, niby zupełnie pięknym krajobrazem zajęty, podczas gdy w istocie myślał o tem, jakby tu odwołać nieostrożne zdanie, które na szczęście Granholt w czas jeszcze przerwał. Bo za żadną cenę nie chciałby znaleźć się w sprzeczności z opinią ogółu; pragnął przecież, aby interes, który sobie od niedawna założył, pragnął, aby... kancelarya szła dobrze.

Po krótkiej, przykrej pauzie, w czasie której Granholt ostatnim kęsem befsztyku objeżdżał swój talerz, młody adwokat przemówił wreszcie nieśmiało, zwolna, ostrożnie:

— No tak, alež ja nie to chciałem powiedzieć!..

Granholt pomógł mu ponownie, zapewniając:

— Naturalnie, domyśliłem się. odrazu! Teraz pana rozumiem! Oczywiście, chciałeś powiedzieć, że robotnicy sami mogą się ubezpieczyć, jeżeli zechcą; otrzymują przecież płacę, a towarzystw ubezpieczających nie brak! Ha, ha, zgadzamy się pysznie, byle się porządnie porozumieć! Cała ta sprawa robotnicza, to najczystszej wody absolutyzm, wie pan? Wszystko poszło od Bismarka, jak to ludzie mówią, no, a on, to już chyba taki sam absolutysta, jak nasi dawni. Cóż to, zabronią nam być wolnymi? A zresztą, czyż my o robotników nie dbamy? Gdybyś też pan wiedział, ile my dajemy na tę ich kasę pomocy! Strach poprostu, poprostu strach! Czy nie dla nich i dzisiaj tutaj zebraliśmy się? Za chwilę rozpocznie się licytacya, przekona się pan, że za te biedne robaki, które musimy rozdzielać po okolicy, nieludzkie płacimy sumy. A starzy, co kręcą się po całym okręgu robotniczym? Wszystko nędzne, chore, grabi nawet w ręku utrzymać nie potrafi! Ho, ho, my już wiemy, co to kosztuje! Niech mi pan wierzy!

. . . .

Zatrzymali się w gmachu szkolnym, przy ulicy Młynarskiej. Tu zbierała się komisya „dla biednych" w celu uporządkowania różnych spraw biedy; nadto miano rozdzielić dzieci, pozostające na koszcie kasy pomocy, między tych z okolicy, którzyby najmniej za ich utrzymanie zażądali.

Granholt i Knorterud zastali, wchodząc do wielkiej sali, licznie już zebrane zgromadzenie. Za pomocą stołu i dwóch ławek odgraniczono jeden koniec sali od pozostałej przestrzeni tak, że przystęp do tego kąta był zamknięty. Tu zasiedli członkowie rady miejskiej, kasyer, lekarz powiatowy i jeszcze kilku innych, należących do „municypalności." Tu też weszli Granholt i Knorterud. Ten ostatni został przedstawiony obecnym — a jako „człowieka nowego" poddano go dokładnej obserwacyi. Lecz Granholt nie omieszkał polecić go jako „człowieka ludu," co się znacznie przyczyniło do wyjednania Knorterudowi uprzejmego powitania. Tylko jeden doktór zachował wobec niego pewien chłód.

Widok, jaki się przedstawiał Knorterudowi po za granicą tego kąta, nie bardzo był przyjemny, a i atmosfera sali nie wpływała na złagodzenie przykrego wrażenia. Czuć było dzieci i starą odzież; zdawało się, że ciężka temperatura wchłania wszystką tę niemiłą woń po to tylko, aby ją wydzielić równomiernie w postaci parnego, stęchłego wyziewu.

Ludzie, znajdujący się w tej stronie sali, również nie przedstawiali wesołego widoku. Kilka lepiej odzianych bab stało w ma-

względem przeciętnego swego uzdolnienia umysłowego, ostatnie typy niższe zanikną, najbliższe mu dzisiaj szczeble świata zwierzęcego nie będą już istniały, przepaść zwiększy się. Człowiek, z zupełnem wtedy prawem upojony swoją potęgą, swoją postawą prostą, będzie uważał siebie za pana, dla którego cała przyroda została stworzona. Wtedy utworzy istotnie wśród świata organicznego szczególne królestwo: ludzkie.“

Korzystając ze sposobności, poruszymy jeszcze jedną kwestyę. Wielu, przeważnie z pośród publicystów, poszczególnym typom rasowym przypisuje stałe w ciągu dziejów znamiona emocyonalno-duchowe. Topinard z całą mocą występuje przeciwko temu. Przyznaje on, że pewne grupy ludzkości, odmienne pod względem fizycznym, mogą niekiedy podobnie wyróżniać się pod względem charakteru, lecz zdaniem jego ów charakter nie jest związany niezmiennie i zawsze z właściwościami rasowemi, ale występuje wszędzie skutkiem warunków bytu i środowiska, w których dana grupa przebywała, a zmienia się, gdy one ulegną przekształceniu.

W.

NIE DO UWIERZENIA A JEDNAK PRAWDZIWE,

czyli spolszczenie geologii Dany przez p. J. Siemiradzkiego, doktora „es sciences,“ docenta geologii na cesarsko-królewskiej wszechnicy we Lwowie.

(Dokończenie).

Według p. S. „*całe* Polesie jest pokryte torfowiskami“; tymczasem według p. Rehmana (*Ateneum* 1886) torfowiska na Polesiu zdarzają się tylko w okolicach wynioślejszych nie podlegających zalewom rzecznym.

Różne fomy wysp koralowych zawdzięczają, według p. S., swe powstanie „*jedynie* obniżaniu dna morskiego“ (s. 171). Pomijając niezgodność tego wyrażenia z neutralną terminologią Suessa, pan S. zupełnie zapomniał o „sprostowaniu według najświeższych badań“ nad wyspami koralowemi Reina, Murraya, Guppyego itd.

Śladów erozyi każe p. S. szukać (str. 181) „w *rowach* przydrożnych“; wyraz „rów“ czyni rzecz niezrozumiałą: chodzi tu mianowicie o wyżłobienia wytworzone przez deszcz na *zboczach* dróg, nasypów i t. p. (u Dany: „Road side“).

Kanjonową formę dolin wiąże pan S. (str. 177) jedynie z poziomem położeniem warstw; należało dodać, że współdziałają tu też względy klimatyczne (suchość), twardość oraz przepuszczalność skał, wogóle warunki zmniejszające spłókującą działalność wód deszczowych.

Kwestya delt nie przedstawia się panu S. zbyt jasno: delty mają się tworzyć tylko tam, gdzie przypływy są słabe (str. 180). Według tego delty powinnyby się znajdować tylko na morzach śródziemnych i polarnych; tymczasem wiadomo, że tak nie jest. Przykład ujścia Amazonki jako delty (i to podobnej do Misisipi?) jest przestarzały i opiera się na dawnem morfologicznem pojęciu delty jako wyspy trójkątnej. Wobec zaś dzisiejszego genetycznego pojęcia (ob. R. Credner *Die Deltas*) ujściowa wyspa między ramionami Amazonki jako utworzona ze skał starszych nie zaś z napływów rzecznych, nie może uchodzić za deltę.

O prądach morskich ma pan S. zupełnie fałszywe pojęcie; na stronie 185 czytamy: „istnieją jeszcze prądy morskie wytworzone przez wiatry... mają jednak znaczenie podrzędne.“ Tymczasem po badaniach Zöppritza wiadomo każdemu, że pierwszorzędne prądy morskie są właśnie wytworem wiatrów, a prądy z innych przyczyn pochodzące mają znaczenie podrzędne.

„Źródła lodowe. mówi p. S. (str. 190), leżą wszakże tak wysoko, że opady atmosferyczne mają tam *zawsze* postać nie deszczu, lecz śniegu“; tymczasem wiadomo, że na najwyższych nawet szczytach Alp obserwowano jeszcze opady deszczowe (ob. Heim, *Gletscherkunde*, str. 90). Na tejże stronicy czytamy dalej: „różnica szybkości przy brzegach i na dnie (lodowca) jest znacznie większa, aniżeli w rzekach.“ W zdaniu tem brak końca: idzie mianowicie o różnicę szybkości przy brzegach i na dnie z jednej strony a w środku i na powierzchni z drugiej. „Ruch lodowców jest skutkiem ciężaru“ — mówi p. S. na str. 190, a na str. 192 — „skutkiem kruchości“ (?). Kwestyę szpar lodowcowych p. S. też zagmatwał; nie rozróżnił jak należy szpar potrójnych: bocznych, poprzecznych i podłużnych.

„Lód — mówi p. S. — działa *podobnie*, jak woda płynąca“ tymczasem między temi działaniami istnieją ważne zasadnicze różnice, na które z naciskiem wskazuje Heim (*Gletscherkunde*, str. 389); na różnice te więc należało zwrócić uwagę początkującego, a nie bałamucić go podobieństwem.

Wszystkie niekoralowe wyspy oceanu Wielkiego mają być „pochodzenia wulkanicznego, z wyjątkiem Nowej Zelandyi“ (s. 198). Naprzód zastosowanie terminu: „pochodzenia wulkanicznego“ jest w danym razie nieścisłe. Albowiem bynajmniej nie wszystkie wyspy „niekoralowe“ oceanu Wielkiego *powstały* jako wyspy działaniem sił wulkanicznych, nie wszystkie są *pierwotne*: są one pod względem pochodzenia w znacznej części wyspami *kontynentalnemi*, oderwanemi od lądu i tylko mogą (lub nie) *posiadać* wulkany np. Japońskie itd. Powtóre gdyby nawet zgodzić się na takie stosowanie terminu, tj. żeby przez wyraz „pochodzenia wulkanicznego“ rozumieć nie *genezę* wulkaniczną wyspy, lecz przypadkowe *posiadanie* wulkanu, to i w takim razie błędny będzie wyjątek z Nowej Zelandyi wogóle (bez bliższego określenia), albowiem północna wyspa posiada wulkany; zresztą sam p. S. tylko o 5 wierszy dalej wymienia Nową Zelandyę między wulkanicznemi. Tak tedy biedny czytelnik będzie musiał co do Nowej Zelandyi znów stukać w palec: wulkaniczna, niewulkaniczna?..

Lawy lekkie (str. 201) mają według p. S. ciężar właściwy $>$2,7; tu znak większości jest fałszywie użyty: powinno być: $<$.

Pokaźna, jak mniemam, ilość i jakość błędów i nieścisłości w książeczce tylko 219 stronic liczącej, napisanej przez doktora „es sciences,“ profesora uniwersytetu, „wodza“ wypraw naukowych, „fachowca,“ oraz benjaminka Warszawy, która występowała przeciw Galicyi z powodu, że ta odmówiła mu stypendyum Gałęzowskiego. Wprawdzie nie jestem tak naiwny, abym mniemał, że u nas dla zdobycia urzędowo-naukowego stanowiska i rozgłosu trzeba posiadać bardzo wiele naukowego przygotowania, wiem, że więcej trzeba na to życiowego sprytu; no ale przecież istnieją pewne granice, których przekroczenie nawet u nas jest nieprzyzwoitością.

Pan S. jest przytem wielostronny w swych błędach: pośród nich są, jak widzieliśmy, i takie, które grzeszą przeciw elementarnym zasadom nauki oraz logiki i takie, które grzeszą przeciw zasadom pedagogiki, i takie wreszcie, które są wynikiem właściwego p. S. roztargnienia umysłowego i niedbalstwa.

Po tem wszystkiem nie policzy mi chyba tego czytelnik na karb nadużycia, że zrobię na tej podstawie pewien wniosek o innej stronie naukowej działalności p. S.,

---

łych grupach, szepcząc coś między sobą; zresztą — szare, blade ubóstwo. Dzieci stanowiły główne tło obrazu; dzieci — różne, począwszy od krzyczących, jęczących, półrocznych, owiniętych w brudne gałgany, aż do pięcio, sześcioletnich, bosych, brudnych, okrytych minimalną jakąś częścią sukien, na których trudno już było odróżnić właściwą tkaninę odzieży od łat.

Objąwszy okiem masę tych brudnych dzieciaków, pośród których starsze, onieśmiałe z nieśmiałości i zdziwienia, ssały brudne palce lub trwożliwie chowały się po za swoich opiekunów, Knorterud, jak i każdy inny, musiał otrzymać wrażenie niezdrowej szarzyzny, rozsnutej na szarzyźnie; zdawało się, że powstają stąd mokre cienie śmierci, powstają do walki z jasnymi promieniami słońca, które igrało z miriadem lotnych ziarnek piasku.

I lekarz spoglądał na salę. Był to mały, chudy człowieczek, o rysach ostrych, poważnych i dziwnie wielkich, ciemno-błękitnych oczach; oczy te zdawały się patrzeć na owe uparte, szare cienie, których wyprzeć stąd nie zdołało.

— Pu! Do dyabła z temi muchami! — zwrócił się Granholt do Knorteruda, wywijając ręką dokoła siebie. Poczem i on rzucił badawcze spojrzenie na salę. Ależ to po prostu jakby zmowa w tym roku! Tyle żebraków! Na Młynarskiej blachą dom kryć musimy. Tak, bo widzi pan kupowanie budulca teraz nie opłaca się, a niemal wszyscy robotnicy bez zajęcia ciągle się zbierają. Widzi pan tego oto tam starca, tego długiego, siwego, bez ręki? No, ten mnie już dosyć kosztował, niech mi pan wierzy! Wystaw sobie pan, taka nieostrożność! Idzie dureń i kładzie rękę prosto pod piłę. Naturalnie doktór musiał mu ją następnie odjąć, a cała ta historya kosztowała mnie przeszło dwadzieścia koron. To już chyba bezczelna opieszałość!

— Czy stary był pijany?—zapytał Knorterud, pokręcając wąsa?

— Nie, uchowaj Boże, nawet pijany nie był. Może popełniłem głupstwo, biorąc tak starego człowieka do piły, ale wie pan, pracował za pół darmo. Stał, kręcił, kręcił kręcił korbą, aż tu, ni stąd ni zowąd, wsunie rękę wprost pod piłę. Rozumie się, że i doktora i aptekę ja płacić musiałem. Potem wsiadł na kark córce; była to wdowa, bardzo przyzwoita: umarła, więc stary uwija się między tą biedą, a jego wnuczęta, o, tych dwoje, co koło niego siedzą, mają iść dzisiaj na licytacyę.

Knorterud spojrzał na starego. Był to człowiek długi, chudy, latami złamany, o włosach rzadkich, siwych i krótkiej kędzierzawej brodzie, koloru nieokreślonego, bo biało-szaro-rudej. Usta miał cienkie, zaciśnięte; oczy, okolone siwemi brwiami, to biegły po sali niespokojne, jakby pytając zgromadzonych tu ludzi, to zatrzymywały się uporczywie na jakimś punkcie w podłodze. A wtedy wyraz tych oczu był beznadziejny i bezbrzeżnie smutny.

Na kolanach trzymał półtorarocznego chłopczyka; objąwszy dziecko lewem ramieniem, tulił je do siebie; trzechletnia dziewczynka, bosa, ubogo odziana, opierała się o jego prawe kolano, wznosząc ku niemu od czasu do czasu spojrzenie błagalne, pełne niepokoju. Wtedy on poruszał uciętem ramieniem, jakby i ją chciał do serca przycisnąć. Cóż mógł uczynić? Głębokie westchnienie wstrząsało całą jego długą, niezgrabną postacią.

Mała ta dziewczynka była dlań niby źrenicą w oku. U córki lewą ręką nie mógł wypełniać żadnej prawie pracy: zajmował się więc dziećmi, doglądał ich, bawił się z niemi, a Anulka ani w domu, ani po za domem chwilki jednej bez dziadka żyć nie mogła. Była chuda, czarna, bo nie tak odżywiana, jak dzieci odżywiać należy. Od niejakiego czasu wciąż chorowała; jeszcze więc zmizerniała, wyglądała wogóle bardzo nędznie i słabowicie...

I to niepokoiło dziadka. Przyglądał się wszystkim dzieciakom, chcąc się przekonać, czy te inne od wnuczki jego nie są jeszcze nędzniejsze; bał się bowiem, ażeby Anulka nie przypadła z licytacyi Marenie Holt. Maren Holt przyjmowała na opiekę dzieci najsłabsze, a ludność okoliczna głosi-

mianowicie o jego działalności badawczej naszego kraju, której rezultaty złożył w licznych artykułach i mapach geologicznych. Naprzód, aby uniknąć zarzutu krańcowości w swym wniosku, ścieśnię sobie jego powyższą podstawę: przypuszczę mianowicie, że p. S. zna wybornie geologię, że zupełnie opanował swój przedmiot (jakkolwiek czuję, iż po tem, co wyżej wymieniono, jest to przypuszczenie nie już zbyt śmiałe, ale po prostu zuchwałe), to i w takim razie wobec licznych błędów samej już nieuwagi i niedbalstwa w tak niewielkiej książce, któż zaręczy, że tych samych właściwych jego umysłowości błędów nie popełniał p. S. tam, gdzie daleko trudniej ich uniknąć, mianowicie przy układaniu swych map geologicznych; czy czasem nie włożył w nie więcej barwnej estetyki nowelisty, niż sumiennej ścisłości geologa? I któż miałby odwagę budować coś na tak niepewnej podstawie? Błędy nieuwagi są w takich razach nie do darowania; kto cierpi na tego rodzaju wadę umysłu, ten nie powinien brać się do układania map geologicznych, tak samo, jak nie powinien układać tablic logarytmicznych, map dna morskiego, najeżonego skałami; tak samo, jak cierpiący na ślepotę barw, nie powinien spełniać służby przy pociągach kolejowych itd. Błędy bowiem w tego rodzaju pracach mogą sprowadzać fatalne skutki.

Zresztą na jeszcze większe moje usprawiedliwienie muszę tu dodać, że nawet niemcy, choć mniej z naszym krajem obeznani, zaczynają się już poznawać na pięknych malowankach pana S., zowiąc je „Phantasiegemälde“ (ob. Jentsch w *Peterm. Mitt.*, 1891, Literaturbericht, s. 3), a ponieważ i u nas geolog prof. Michalski też już wytykał błędy p. S. (i to jak wiadomo, *Prawda* nr. 35, jeden taki, którymś przepowiedzieli ze względów teoretycznych), więc zdaje mi się, że ja z mojem zdaniem o panu S. nie jestem tak dalece odosobniony i jego skierowany przeciw mnie gołosłowny zarzut „niefachowości“ mogę przyjąć z pobłażliwym uśmiechem, jako obranie stanowiska chińsko-urzędowego podyktowanego przez taktykę strusią.

Na zakończenie wyrażę nadzieję, że czytelnik połączy ze mną swe gorące prośby do pana S., by sobie szczęśliwie kolonizował czy też „badał“ amerykańską Palestynę, bujał po Pampasach z Gauchosami jako „wódz,“ pisywał wdzięczne nowelki amerykańskie *à la* Esteja do *Kuryerów*, wysyłał, jeżeli to lubi, szumne telegramy do zjazdów „przed wyjazdem za ocean,“ a w dalszym ciągu i „po przyjeździe,“ ale niech nie częstuje i tak skołatanego społeczeństwa tandetnymi podręcznikami do nauki.

Świecidełka i reklamy sposobem Boulangera są dobre w czasie parady, ale w chwilach ważniejszych społeczeństwo potrzebuje i ludzi poważnych.

Wacław Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

ŚRÓD MUZ.

I.

Doroczny konkurs malarski.

Rozpoczynając nową seryę wędrówek po galeryach naszych, uspokoić chcę na wstępie życzliwych mi czytelników, że nie będę ich zbyt wiele i zbyt często na towarzyszów prosił, ot, wtedy jedynie, gdy się coś ważniejszego w dziedzinie sztuki zdarzy i tyle jeno, na ile miejscowy światek artystyczny — omal nie wyrzekło się: półświatek — bardzo krzykliwy, okrutnie drażliwy i srodze chełpliwy zasługuje. Zapewnić ich mogę z ręką na sercu, że mimo szczęku polemicznego oręża, dobywanego przez i w obronie malarzów we wszystkich niemal pismach, i mimo niebywałego dotąd zaprzątnięcia uwagi ogółu sprawami sztuki, mimo wreszcie wszelkie taraskonady Tartarinów krytyki, gromiących społeczeństwo za obojętność dla „stylu zakopańskiego,“ który tak bosko-cudownie hoduje zarazek błonnicowy — prawdziwi mistrze pędzla i dłuta rodzić się nie chcą. Kto wie, może ich ten dziki wrzask przeraża i z wyjściem na świat boży czekają chwili spokojniejszej, kiedy w powietrzu będzie więcej ducha i myśli, a mniej bębnienia na uciechę gawiedzi?.. Dość, że geniuszów jak nie widać, tak nie widać, a wzrok całkiem daremnie szuka na ścianach salonów arcydzieł.

Najlepiej przekonywa o tem doroczny konkurs Towarzystwa zachęty, który obesłany został bardzo skąpo i zwabił zaledwie parę celniejszych płócien. Natomiast wynik ten, choć dla samego turnieju wcale nie imponujący, posiada dużo korzystnych stron dla samych uczestników jego. Sąd bowiem, wydany przez *jury*, dowodnie świadczy, iż stoi ono jeśli nie zupełnie, to już niemal na wysokości sztuki i śledząc jej postęp i nowe prądy nie pyszni się, niby żółw skorupą, ciasnotą i jednostronnością starych dobrych formułek i gustów. Odznaczono pokolenie malarzów najmłodsze, ruchliwe, wydajne i rzutkie, a więc zarazem takie — i w tem tkwi druga ważna wygrana — któremu najbardziej poparcie materyalne jest niezbędne. Jak rozdzielono nagrody, wiadomo już z pism codziennych a także wzmianki, którą w kronice bieżącej podała *Prawda*, nie mamy więc potrzeby rezultatu ogłaszać powtórnie i ograniczymy się jedynie na sprostowaniu, którego, zdaje się, wymaga zasada *suum cuique*. Oto wbrew uporczywemu błędowi sprawozdań, nagrody trzeciej *nie* podzielono między pp. Kędzierskiego i Rosena“ (Pawła), lecz ją *zdwoiwszy*, każdemu z osobna przyznano w całości sumy pierwotnej. Towarzystwo zachęty, wybierając z dwu sposobów rozcięcia węzła ten, który uwieńczonym a nie kasie na dobre wychodzi, dało dowód wielkiego taktu i rozsądku.

Inna rzecz, czy wyrok ogólny wypadł całkiem słusznie. Nie żądajmy od naszych konkursów i w czasach dzisiejszych, gdzie każdy biegły omotany jest siecią sympatyj różnorakich i różnorakich niechęci, ażeby wzorem Temidy brali do rąk szale, wprzód zawiązawszy sobie oczy grubą przepaską. No, a przytem naiwnie byłoby wymagać bezwzględnej tożsamości upodobań u wszystkich, nawet jednakiemi zasadami sztuki kierujących się miłośników malarstwa, i dziwnem—narzucać sędziom swoje widzi mi się, jako coś kategorycznie nieomylnego. Zamiast więc wścibiać swoje poprawki w orzeczenia sędziów, przyjrzyjmy się po prostu obrazom w porządku skłonności własnej, prywatnej, niejako poufnej.

Wówczas postawić wypadnie na czele portret damy, wykonany przez p. Podkowińskiego. Nader nam miło, żeśmy się niedawno a wyraźnie odzywali na tem miejscu z uznaniem i tak zwaną dobrą wróżbą o śmiałych szamotaniach tego artysty, bo rychlej niż można było mniemać, talent błądzący omackiem, ale rezolutny mimo to, zrobił swoje i ukazał się w całej pełni. Płótno odznaczone drugą nagrodą, wydobyło na jaw w stopniu wyższym znane już zalety p. Podkowińskiego, dobry rysunek i wybitne panowanie nad konturem

---

ła, że oddawane do niej nie najlepsze miały życie.

I Anders Baart, który wedle starego przyzwyczajenia w niedzielę myślał o Bogu, a w dni powszednie — o nędzy świata, Anders Baart siedział tu i wzdychał do Boga, pomimo, że to dziś był dzień powszedni. Modlił się, aby Bóg okazał się prawdziwie dobrym i zrządził, żeby Maren Holt nie dostała małej jego pieszczoszki. Potem znowu spoziérał na Anulkę, spotykał jej strwożone, błagalne oczęta, widział, że dziecko dzisiaj jeszcze więcej jest chore i nędzne, niż dotychczas, a jednak nie mógł maleńkiej objąć ściętym pieńkiem ramienia, nie mógł jej popieścić, jak to zwykł był zawsze czynić; złamanym głosem powtarzał ciągle: „Anulko, maleństwo moje!“

Rozpoczęła się licytacya. Umieszczono troje, czworo dzieci. Maren Holt dotychczas nie licytowała. Ilekroć wywoływano dziecko, zmierzyła je badawczem spojrzeniem: lecz dzieci te były widać zbyt jeszcze rumiane, zbyt silnie zbudowane. I w miarę tego, jak rozdawano je między inne kobiety, Anders Hart stawał się coraz więcej niespokojny.

Lekarz rozmawiał z „pierwszą osobą rady,“ z członkiem stortingu, Granholtem.

— Słuchajcie no, Granholcie — prawił — zdaje się należałoby znieść ważność głosu Mareny Holt przy licytacyach. Ma zawsze całą kolonię dzieci u siebie, a padają u niej dzieciaki, jak muchy.

— Widzicie, kochany doktorze, ta kobieta zadawala się najnędzniejszymi robakami, którymi inne gardzą. Bo nikt przecież chętnie chorych dzieci nie dogląda. Czy to się opłaci? — Nie, doprawdy nie!

Granholt tak obojętnie patrzył na doktora, że ten już zaczynał się irytować.

— Nadmienię tylko, że proboszcz zupełnie podziela moje zdanie. Długośmy o tem mówili i zgadzamy się najzupełniej. To jest poprostu — tak, poprostu dzieciobójstwo; popełnia je każdy, kto pozwala Marenie Holt brać jeszcze dzieci. Znikają u niej jak cienie.

— No, toć my przecież dzieci nie umieszczamy. Stosujemy się do prawa i nakazów; o ile mi wiadomo, rzeczą jest doktora doglądać, aby te bębny nie marły z głodu i chłodu i nie doznały złego obejścia. Idźcie, doktorze, podajcie Marenę Holt o złe obchodzenie się z dziećmi, a prawo ją ukarze. Co do mnie, jeszcze takiej skargi nie widziałem.

— Ależ, człowieku, w tem właśnie nieszczęście, że nie mam żadnych przeciwko niej dowodów! — odrzekł doktór gniewnie. Oczy jego iskrzyły się i świeciły złym ogniem. Czy sądzicie, żem nie węszył, i nie badał, i nie przyłapał jej? Ale zawsze potrafiła tak się wykręcić, że nic jej zrobić nie mogłam. Mimo to, nikt nie wątpi, że u Mareny Holt nietyle powinnoby umierać dzieci, ile istotnie umiera. Nietylko ja to mówię: proboszcz podziela moje zdanie.

— Tak, widzi pan — odrzekł Granholt z najzimniejszą krwią — *moją* rzeczą jest doglądać, aby kasa zapomogi najmniej ponosiła kosztów. Wiecie najlepiej, że podatki są wysokie — tak, tak. Wasza rzecz zrobie podanie, skoro Marenę Holt macie w podejrzeniu. Każdy niech dba o to, co do niego należy — czy nie?

I z uśmiechem niemożliwej obojętności, Granholt wykręcił się na obcasie, zwróciwszy się do Knorteruda. Zamierzał go widać kształcić, społecznie i politycznie, podług swego widzenia, skoro tak od pierwszej chwili wziął go formalnie w arendę.

Podczas kiedy Granholt i lekarz z sobą rozmawiali, Maren Holt istotnie dobiła targu o małą Anulkę. Wzięła dziecko, położyła mu rękę na główkę, odchyliła ją, aby dobrze zajrzeć w oczy — oczy tyle przecież mówią u chorych i znękanych. Obiema dłońmi omacała ciałko dziecka, a przekonawszy się, że chude i zbiedzone, zaczęła licytować; jedna tylko kobieta stanęła z nią do licytacyi, a i ta niebawem ustąpiła.

Anders Braat nie spuszczał z niej oczu: ogarnął go straszny niepokój, kręcił się na ławce, w jedną, w drugą stronę. W chwili, kiedy licytacyę zamknięto, zdawało się, że

figur oraz niepowszedni smak w układzie, a nadto ujawniło przymioty nowe wysokiej dosyć marki. Tym sposobem obok nieposzlakowanej prawdy linij, niezwykłego wdzięku w wypracowaniu głowy i upozowaniu całej postaci, która swobodnie i pewno siedzi na dębowym fotelu, zastanawiają jeszcze wysoce artystyczne skojarzenie kolorów sukni i tła, znakomita siła i prawda tonów cery na twarzy i ręku, wspierającem ją, wielka wypukłość kształtów i wybitny spokój i skoncentrowanie wyrazu oczów. Osobliwie na wyróżnienie zasługuje ręka, odsłonięta do połowy łokcia i wsparta na poręczy; wychodzi ona z obsłon czarnej materyi żywem ciałem, pysznie modelowanem i wybornem w subtelności swych biało-żółtych i różowych odcieni. Nie znając oryginału, nie możemy ocenić, o ile podobizna jest wierną w ogólnym charakterze swym, pełnym stylu i wytworności w najlepszym gatunku, ale choćby w nim nawet była pewna przesada, owa dystynkcya i wykwint całości mogą tylko podnosić czysto artystyczną zasługę autora. Jest to bowiem przedewszystkiem popis dobrego smaku, tem ciekawszy, że mu za metodę posłużył impresyonizm, złagodzony wprawdzie mocno względnie do poprzednich prac tegoż pędzla.

Wbrew całemu wstrętowi do tak gwałtownego przeskoku, od tematu salonowego do ściśle „podwórzowego," przechodzimy odrazu do „Kur" p. Pawła Rosena (nagroda III-b). Jest to niewątpliwie odwaga ze strony malarza dawać widzowi zamiast uprzywilejowanych u nas krów, owiec, koni — zwyczajne kokosze i koguty. Można się było spodziewać z góry, że takie odstępstwo od nałogów hodowlano-sportowych w sztuce wywoła oburzenie i wyznaję, że po kilkakroć zachodziłem w głowę, czy dzienniki, zaliczając p. Rosena do laureatów, nie strzeliły bąka. Nie, istotne, autentyczne kury! Trzeba powinszować zarówno sędziom, jak i artyście: są wyśmienite, niezrownanie podpatrzone i wystudyowane w swych charakterystycznych ruchach i wyrazach, starannie i dokładnie skopiowane w ubarwieniu i upierzeniu. Cała ta pierzasta gromada formalnie żyje: i ów kogut, jej sułtan z okiem gniewnem i iskrzącem, i owa uciekająca jakby po bitwie kwoka, i owa, co skuliła się, jakby za chwilę miała zasnąć. Są to prawdziwie ptasie indywidualności, znajome każdemu typy okazów rodu kurzego i jego niezłożonej ale pełnej zabawnego charakteru psychiki, którą autor wydobył w całości. Prócz tego godzi się podkreślić, że tworzą one samo akord i łączą się w poważną pejzażową kompozycyę z resztą obrazu, który ma w akcesoryach zagrodę z walącym się płotem i na planach dalszych dobre momenta i perspektywę. Jak na monachijczyka, zastanawiającem jest i chwalebnem, że p. Rosen potrafił uniknąć konceptu— witzu— który szwabi tak pochopni są dodawać do podobnych motywów, i co ważniejsza, zdobył się na pewną siłę i czystość kolorów.

Płótno p. Zdzisława Jasińskiego, wyróżnione pierwszą nagrodą, nie robi na nas, mimo znaczne swe rozmiary, wrażenia obrazu skończonego pod względem tematu. Pochwycił on w lot znamienną chwilę „Nabożeństwa świątecznego" w kościołku małomiejskim, kiedy wszyscy z żarem, śpiewając chórem pieśń, dopadają do stopni ołtarza z gromnicami i różańcami w rękach, z otwartemi szeroko usty. Fizyognomia momentu nie posiada jednak w sobie siły psychologicznej, której miałoby się prawo oczekiwać, iześrodkowywa się w dwóch — trzech postaciach klęczących i chłopcu, służącym do mszy w komożce, z trybularzem rozbujanym w ręku, niepotrzebnie semickim akcentem w profilu i nader słabym wyrazem w ogólności. Reszta tłumu, kobiety i dziewoje, traktowane są już powierzchownie, już nazbyt drugo i trzecioplanowo. Suma więc charakteru jest bardzo niewielka, zwłaszcza w stosunku do rozmachu kompozycyi. Doskonałe są niewątpliwie pojedyncze epizody, a głównie owi dwaj ichmoście, ubrani z waszecia, zjednywają widza typem swym prostaczym, swojskim, zaułkowym, ruchem i postawą, ale nie o wiele osłabiają oni ogólną cechę obrazu, nie dość głęboko odczutego i za mało intensywnie urządzonego. Niepodobna też przemilczeć, że płótno jest po monachijsku szare, jednostajne w kolorze, jak gdyby szklane, z niezmiernie sztucznie uwydatnionym światłocieniem,słowem cierpi ono na pewną niedokrwistość i widoczny brak energii.

Dwa jeszcze znajdujemy w tymże salonie płótna, godne osobnej wzmianki. Jedno z nich, odznaczone nagrodą III-a, wyszło z pod pędzla p. Kędzierskiego i przedstawia „Astronoma wiejskiego," małego pastuszka, który ciekawością skamieniały, zapatrzył się w usiane gwiazdami niebo wieczorne, czy też srebrny sierp księżyca, nawiasem mówiąc, matowy całkiem i bynajmniej nie wprawiony w niebo. P. Kędzierski umie wyczuwać prawdziwą rodzimość i poezyę wsi — nie od dzisiaj, a w wypadku obecnym celuje nadto szczerością i pewną oryginalnością pomysłu. Szkoda jeno, że zwróciwszy całe staranie na chłopię i wydobywszy zeń odpowiedni charakter, z pejzażem nocnym obszedł się dosyć szablonowo i płytko.

Wreszcie drugie płótno jest dziełem p. Popowskiego, któremu, jeśli się nie mylimy, przyznano list pochwalny. W jego „Świcie" zieleniąca się od wschodu połać nieba sprawia efekt niepowszednio dodatni, dzięki swemu wybitnie prawdziwemu światłu, jakie poprzedza wschód słońca. Również brzask, uwięziony między dwoma długimi parkanami podmiejskiej ulicy i majaczejący nad grząskiem błotem, ma nastrój właściwy, i dobrą też jest odległa perspektywa krajobrazu.

Okazuje się stąd, że rozłąka p. Popowskiego z nieodstępnemi przez tak długi czas sosnami o zaczerwienionej ranną lub wieczorną porą korze, na dobro mu wyszła i że stać go na utwory poważniejsze.

Trudno nam zatrzymywać się dłużej nad resztą lepszych płócien. Zaliczymy do nich „dojrzałe kłosy" p. Stankiewiczównej; zupełnie dobre mimo pozoru staroświeccczyzny „Odwiedziny w klasztorze" p. Klass Kazanowskiej; „Noc" — ładną i odczutą — p. Ryszkiewicza i kilka innych. A spieszymy dlatego, by módz załatwić jesze pewne rachunki osobiste, zaległe z roku zeszłego, w kilku bodaj słowach.

Z dwóch stron napadnięto na mnie. Ktoś aż w *kilku redakcyach* żądał, by mię skarcono i do milczenia zmuszono, monopolizując prawo ocen malarskich na rzecz samychże malarzy. Zadziwiony nieco natręctwem i gorliwością oburzającej się na mnie żółtaczki, a wiedząc z doświadczenia, że tego rodzaju usposobienia choleryczne rzadko kiedy nie są pod wpływem bólu własnej wątroby, spytałem tego i owego i oto dowiedziałem się, że jest nią blizki krewniak jednego z malarzów, którego wspominałem parę razy — bez zachwytu. Sądzę, że dalsze komentarze zbyteczne...

Co się zaś tyczy drugiej „pretensyi" — używam wyrażeń łagodnych — to ta ma wszelkie pozory jawności, ale wzamian równa się istnemu klejnotowi przez swą nieoszacowaną naiwność. Zarzucono mi bowiem, że jednemu z artystów — zaszkodzi-

---

przygniótł go straszny ciężar, niby cień czarny przesunął się po jego oczach.

Anulka przybiegła napowrót do dziadka i przytuliła się do jego kolan. Kiedy stary uczuł jej dotknięcie, zadrżał, spojrzał jej w oczy, które teraz jeszcze trwożliwiej i błagalniej ku niemu się zwracały. Dziecko pojęło widać to spojrzenie starca, bo zaczęło płakać tak rzewnie, jak tylko dziecko płakać umie. Oczy Andersa były suche, gorące — nie mógł przemówić słowa.

Parę chwil później i chłopca przysądzono jednej z licytantek. Za mały był jeszcze, aby zrozumieć, że w życiu jego zachodzi szczególna jakaś zmiana: został też spokojnie u kobiety, która go zalicytowała.

Wreszcie interes skończono.

Sala zaczęła się opróżniać. Knorterud zbyt młody i „sentymentalny," jak Granholt wyraził się był o doktorze, przyglądał się z uczuciem dziwnego przygnębienia tej sprzedaży „dzieci ludu" za pieniądze najtańsze: jedne szły po to, aby przygotować się do najnędzniejszej niewoli życia; inne po to, ażeby po krótkim okresie cierpień i niedostatków znaleźć jedyne szczęście, jakie los wyznaczył biedakom — śmierć...

Kiedy zabrali chłopca, Anulka siadła na kolanach dziadka. Anders podniósł ją tak, ażeby mogła drobną główkę przytulić do jego szyi—tak się zawsze tuliła, ilekroć miał ją w żalu pocieszać. Dzisiaj Anders słów nie znajdował, dusił się, dźwięki zamierały mu w gardle. Pochylił więc tylko głowę tak, aby uczuła ciepło, i opiekę, i... bezpieczeństwo.

Tak siedząc, on zgarbiony, pochylony nad nią, ona jakby niknąca w jego objęciu, podobni byli do dziwnego jakiegoś węzełka, którego prawie rozwiązać nie można.

A gdy Maren Holt przyszła, aby zabrać dziecko, Anulka krzyknęła dziko, przeraźliwie. Sam dziadek musiał rozewrzeć małe rączki, które go puścić nie chciały. Spojrzał w oczęta dziecka, oczy pytały: „Dlaczego mi nie pomagasz?" I stary Anders zapłakał. Łzy ocierał dłonią, ledwie zdołał wymówić: Bóg z tobą, mój ty skarbie, Anulko!

Poczem wyszedł za Mareną Holt, która Anulkę na rękach wyniosła. Dziecko wyciągało ku niemu rączki, krzycząc: dziadziu, dziadziu!

. . . .

— Chodź pan, panie adwokacie, chodźmy już! — rzekł Granholt, zwracając się do Knorteruda. — Dzięki Bogu, żeśmy się wreszcie tych bębnów pozbyli. Poprostu niesłychana rzecz, co te dzieciaki nas kosztują! A jak się panu podoba ten doktór, w dodatku? Ha, zawsze był trochę waryat i sentymentalny, jak to mówią!

Podczas gdy Granholt szykował sobie konia i obrok, Knorterud spoglądał na drogę, którą oddalała się Maren Holt z dzieckiem. Anders szedł za niemi, kulejąc — szedł po ostatnie pożegnanie...

Adwokat słyszał krzyk dziecka, zdawało mu się też, że Anders zmienił się do niepoznania. Maren mieszkała na przeciwległym końcu miasta. Gdy doszli do miejsca, gdzie się ich drogi rozchodziły, Knorterud usłyszał, jak Anulka z najwyższym wysiłkiem, ostatnią mocą głosu, jęknęła: dziadku, dzia-adku! Widział, jak poprzez ramiona Mareny rozpaczliwie wyciągnęła rączki ku staremu.

I Anders Braat stanął, stał długo i spoglądał za nią, wreszcie poruszył ustami. Knorterud brzmienia nie słyszał, zresztą nie było to nic szczególnego...

Powiedział tylko, a łzy gorące spływały mu po twarzy: Mój ty skarbie, Anulko!

Potem wszedł na most. Tu przystanął, wsparł się na poręczy i utkwił oczy w falach... Po krótkiej chwili puścił się w dalszą drogę.

— Nie — zostawię to zmiłowaniu Bożemu! — mruknął i poszedł dalej.

Tłom. *Malwina Posner.*

łem, ponieważ między słowa uznania wplotłem pewne zastrzeżenie. Byłbym niewymownie wdzięczny za łaskawe objaśnienie, czy zdarzyło się kiedykolwiek, ażeby literat lub uczony, „zrąbany“ przez krytykę i spreparowany bodaj, jak żaba w mrowisku, skarżył się, że mu zaszkodzono. Ale sprawa ta nie zasługiwałaby wcale na podniesienie, gdyby nie osobliwie groźna mina wrzekomo niesłusznie przeze mnie pokrzywdzonych. To też odpowiem im wzorem Heinego, że jeśli sławetnemu rycerzowi z La Manchy, którego opiewa Cervantes, wiatraki wydały się olbrzymami, a miechy z winem wielkimi czarodziejami, tedy mnie naodwrót: owe groźne olbrzymy wydają się wiatrakami, a wielcy czarodzieje skórzanymi miechami od wina.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO.

d. 17 stycznia.

Parcelacya i Spółki ziemskie.—Spółka melioracyjna.—Bank ludowy w Sremie. — Wiadomości drobne.

Odbędzie się tu wkrótce zebranie w sprawie parcelacyi i spółek ziemskich. Jest to jedna z najdonioślejszych kwestyj, jakie Poznańskie ma do załatwienia, musi ona bezwarunkowo wejść w program prac obywatelskich i doznać jak najsilniejszego poparcia ze strony ogółu. Nadzwyczajne zmiany, jakie ciągle jeszcze odbywają się w łonie większej własności; bankructwa znaczniejszych folwarków zwracają uwagę powszechną. Należy raz zmniejszyć obszary folwarczne, a pomnożyć liczbę mniejszych posiadłości i wzmocnić stan ziemiaństwa zagrodowego, które tak wybornie umie utrzymać się przy ziemi i znaczne jeszcze z niej ciągnie zyski bez posiadania jakichś kapitałów i bez wszelkiego poparcia ze strony innych warstw społecznych. Istniejąca w Poznaniu „Spółka ziemska“ powstała bez wrzasku i zabiegów, a jednak rozwija się wybornie, potęgując swą działalność. Spółek takich trzeba więcej, jak najwięcej, będą one żywo się zajmowały osadnictwem żywiołów swojskich na ziemi własnej, która dotąd, niestety, dostawała się niemal wyłącznie w ręce szczepu giermańskiego.

„Spółka melioracyjna,“ o której powstaniu donosiliśmy w roku zeszłym, odbyła swe ogólne walne zebranie w Bazarze pod przewodnictwem hr. Józefa Mielżyńskiego. Od chwili założenia jej upłynęło zaledwie dziewięć i pół miesiąca, a już może się ona poszczycić dodatnimi rezultatami swej pracy. Zrazu zwalczano rozmaite trudności, bo instytucya zupełnie nowa nie miała żadnych wzorów, ani w kraju, ani za granicą i musiała zupełnie samodzielnie wyrabiać podstawy i zasady dla swoich czynności, tak doniosłej natury dla rolnictwa krajowego. Szczęściem usunięto pierwsze zapory rychło. Publiczność rolnicza i instytucye bankowe, a zwłaszcza „Bank związku spółek zarobkowych“ pospieszyły z pomocą. Spółka liczy dziś 44 członków, a w ciągu krótkiego istnienia swego otrzymała 41 wniosków o drenowanie, melioracye łąk i kultury nasypowe, z których 32 przyjęto, 5 jeszcze nie załatwiono, a 4 oddalono. Przyjęte wnioski przedstawiają areał około 15,000 morg.

Publiczność przyznała, że wykonane prace odznaczają się dokładnością w kierunku technicznym, a co najważniejsza umiarkowaną ceną. Bilans również nie zawiódł, a nawet wykazuje bardzo pomyślny rozwój i już dziś zapewnia rozdział dywidendy dla członków, co jednak wedle postanowień statutu może nastąpić dopiero z końcem drugiego roku.

Nie mniej pięknymi rezultatami pochwalić się także może Bank ludowy w Sremie — spółka z nieograniczoną poręką — za rok ubiegły. Ogólny obrót jego wynosił r. 1891 marek 7,592,128·55. Czysty zysk 49,621·15 marek, z których 36,195·35 przypada na procenty od depozytów, 11,928·80 na dywidendę i 1,500 marek na fundusz żelazny. Członków przechodzi na 1892 rok 1,098 (w roku ostanim przybyło ich 97); z tego a) gospodarzów: właścicieli wsi i folwarków 40, włościan 659, bez własności 39, b) przemysłowców i rzemieślników: z własnością nieruchomą 128, bez własności 98, c) innych zawodów: z własnością nieruchomą 47, bez własności 77. W chwili, kiedy piszę te słowa, odbywa się właśnie walne zebranie banku w sali Neymanna.

Nakoniec kilka wiadomości drobnych.

Walne zebranie akcyonaryszów cukrowni kruszwickiej uchwaliło wziąć udział w nowem ufundowaniu od lat kilku istniejącej cukrowni w Pakości, która utraciła cały swój kapitał zakładowy, akcyjny. Do tej nowej fundacyi utworzyła się spółka akcyjna z kapitałem zakładowym 800,000 marek, z których 300,000 daje ze swych funduszów cukrownia kruszwicka, resztę zaś okoliczni właściciele ziemscy, którzy nadto zobowiązali się do sadzenia buraków na przestrzeni 5,000 mórg.

Ziemska kasa oszczędności kompletnie zbankrutowała, poniosłszy dwie większe straty.

W pałacu Działyńskich odbywała się do piątku wystawa robót kobiecych, zawierająca wiele pięknych i cennych przedmiotów.

Fryzyer Schlome *Bożejewicz* z Nakła zbrzydziwszy sobie dotychczasowe nazwisko zamienił je na *Baschwitz*, a wieś *Jezierze* (w skwierzyńskiem) mimo swej chęci i woli przechrzczona została na *Seewitz*.

t. z.

NASZE SPÓŁKI

(Rybacka i pszczelarska).

Na naszym słabo jeszcze przesiąkniętym przedsiębierczością gruncie społecznym łączność gospodarcza w postaci spółek uchodzi za roślinę egzotyczną. Zaszczepione — źle się przyjmują: albo je rychło podgryza robak indywidualizmu niepohamowanego, albo wycieńczone niewytrwałością składających je żywiołów — więdną, schną i przepadają. Z drugiej jednak strony samo życie gospodarcze, w obecnem swojem stadyum rozwoju, otwiera dla nich szerokie pole i nawołuje je głośno do bytu. Dla tego też, gdyby zgodnie z tem próby przedsiębiorstw spółkowych mogły być u nas czynione na szerszą skalę, powszechniej, kto wie, czyby niefortunność zespalania wysiłków nie przestała ściągać mniej zarzutów niedołęstwa lub innych niemal plemiennych wad. Gdyby liczbę urodzeń prześcigała choćby na chwilę cyfra zgonów, taki stan stosunków ludnościowych bardzo słusznie mógłby nas przerażać. Podobnie rzecz ma się z losami naszych spółek gospodarczych. Możliwość ekonomiczna ich bytu tkwi w naszem łonie, ale że je rodzimy leniwie i skąpo, że zanim która ujrzy światło, już mrze — przeto liczba poronień, górując nad liczbą porodów, nas trwoży i zdaje się być zjawiskiem wyjątkowem, nam tylko właściwem. Dobrze życząca krajowi myśl publicysty, mając do czynienia ze szczupłą wiązką faktów, przygnębiona ich wymową lub rozżalona zawodem, wymyśla naszym żywiołom społecznym od „duszy rasowej,“ która, jako taka, ma być przyrodzoną zawadą postępu gospodarczego. Tymczasem starczyłoby przejrzeć roczniki dziejów przedsiębierczości dojrzalszego od nas Zachodu, żeby się przekonać, iż jesteśmy w błędzie, że mamy „duszę“ ulepioną z równie kształtliwej gliny, jak i ziemianin lub mieszczanin Anglii, Francyi, Niemiec. Różnimy się tylko mniejszym stopniem przystosowania do potrzeb chwili. Dość wejrzeć chociażby w jedną kartkę dziejów rozwoju form produkcyi i wymiany zagranicznej (np. syndykatów rolnych i karteli przemysłowych we Francyi i Niemczech), żeby wiedzieć, iż tam procent poronień lub śmiertelności w zakresie powstawania spółek jest bardzo znaczny, ale w mnóstwie usiłowań on niknie i ostatecznie daje zawsze ciągły postęp ekonomiczny.

Zresztą, nie przekraczając nawet miedzy własnego kraju, bylebyśmy spojrzeli okiem wolnem od uprzedzeń, spostrzeglibyśmy i u siebie ślady tego postępu. I u nas, zwłaszcza na prowincyi, widzimy ciągle mnożące się stowarzyszenia spożywcze, których inicyatorami przeważnie są ziemianie. Jedne z nich szybko zamierają, inne natomiast szczęśliwiej poczęte, żyją pomyślniej. To samo ze spółkami rolnemi. Prób nie brak i nawet podejmowanych dość często, ale chociaż jedne rozbijają się o niedojrzałość przedsiębiorczą „eksperymentatorów“ lub rafy podwodne źle zbadanych warunków gospodarczych, inne, wyszedłszy zwycięzko z doświadczenia życiowego, nie tylko trwają, lecz rozwijają się, świadcząc dodatnio o zmyśle przedsiębierczości i zdolnościach zespólczych. Tutaj możnaby zaliczyć usiłowania tego rodzaju na polu przemysłu mleczarskiego.

Próbkę spółki, która głębiej zapuściła korzenie w łono ziemiańskie, jest rybacka. Stan jej charakteryzuje najlepiej sprawozdanie z r. 1890/1, odczytane w Muzeum przemysłu i rolnictwa, na zebraniu spólników, przez p. Adama Przanowskiego. Istnieje ona od lat ośmiu, a od siedmiu dzierżawi dobra Żyrzyn i Kock. Po skończeniu zaś tego roku, tj. od 1 lipca 1892, trwać ma jeszcze lat jedenaście — do 1 lipca 1903-go, a dzierżawa jej — dziesięć, czyli do 1 lipca 1902-go. Dochód czysty za r. 1890/1 wynosi rs. 4,649 kop. 86 i różni się od budżetu za rok odnośny tylko o 21 rs. kop. 6. Z dochodu tego wypłacono uczestnikom, zgłaszającym się, i deponowano dla nieobecnych rs. 3,210, tj., 6% od sumy 53,500 rs., wyrażającej 107 udziałów. Z reszty rs. 629 i k. 34 potrącono czynsz dodatkowy dla właściciela Żyrzyna od zalewu za r. 1890, pozostałą zaś sumę 630 rs. 52 kop. dołączono do kapitału zakładowego, który łącznie z sumą powyższą wynosi rs. 6,088 k. 27. Z sumy tej, z której rs. 3,960 kop. 84 pozostaje w gotowiźnie w kantorze p. Kleniewskiego, a rs. 2,127 kop. 43 w zaliczeniach, jako będącej częścią kapitału zakładowego, spółka nie może wyznaczać dywidendy. Stratę, jaką poniosła na gospodarstwie w Złotym Potoku, została w znacznej części umorzona z dochodów lat ostatnich, to jest, z pierwotnej sumy rs. 17,212 kop. 50 i do umorzenia pozostaje tylko już rs. 1,898 kop. 33. W ten sposób więc spółka wkroczyła w rok bieżący z „zupełnym spokojem na zewnątrz,“ a to tembardziej, że świetne wyniki połowu jesiennego 1891 r. „zdają się“ zapowiadać „przyszłość stałą i pomyślną.“

W roku sprawozdawczym sprzedano ryb, okrągło licząc, 136,000, gdy w 1890/1 tylko 88,000 funtów, z czego osiągnięto 21,000 rs., gdy poprzednio tylko 12,000. Dochód więc czysty, wynoszący w r. 1890/1-ym 4,649 rs. 86 kop., dosięgnął w r. 1891/2 sumy 10,083 rs. 25 kop., czyli na 500-rublowy udział — 90. Z dochodu tegorocznego, w znacznej części już zrealizowanego, wypłacono spólnikom tytułem dywidendy za rok 1891/2 po 6%, co w sumie daje 3,210 rs., resztę zaś, po wydzieleniu przewidzianych w ustawie tantyem, przeznaczono na umorzenie pozostałej części strat na Złotym Potoku i amortyzacyą kapitału, umieszczonego w urządzeniach Kocka i Żyrzyna, które z upływem dzierżawy przechodzą bezpłatnie na rzecz właściciela tych dóbr.

Skład zarządu spółki uszczuplił się o dwie osoby: jedna (Stanisław Zawadzi) zmarła, druga (hr. Al. Jezierski) usunęła się, żeby u siebie, w dobrach Garbów, prowadzić na szeroką skalę hodowlę ryb. Obecnie więc zarząd składa się z trzech członków czynnych: Adama Przanowskiego, Władysława Hobdank-Korzybskiego i Stanisława hr. Łubieńskiego.

Pole działalności spółki jest jeszcze bardzo obszerne i prawie niepodzielne. Chociaż bowiem ona przykładem swoim przyczyniła się do znacznego rozwoju w kraju gospodarstwa rybnego, ale nadprodukcyi jeszcze nie wywołała. Miała przytem i tę wygodę, że w dwóch latach sprawozdawczych na targach warszawskich nie napotykała wcale współzawodnictwa hodowców galicyjskich, owszem targi te były bardzo obszerne, gdyż znaczne partye ryb sprzątnął z nich Berlin. Stąd też w Warszawie zapasy tego towaru zmniejszyły się tak dalece, że obecnie kupcy tutejsi sprowadzają kolejami sporo ryb od innych hodowców krajowych. Okoliczność ta, jeżeli zacznie się powtarzać, może być dla spólników nie zupełnie pożądaną. Wynagrodzą oni sobie tę stratę otwierającym się rynkiem wywozowym (Berlin itd.), ale w miarę rozwoju gospodarstwa rybnego w kraju warunki współzawodnictwa staną się trudniejsze. Gdy więc spółka żyrzyńska znajdzie się na tym przełomie, ciekawą będzie dynamiczna strona jej życia dalszego: wypadnie jej wówczas złożyć egzamin z wyższego kursu przedsiębierczości współczesnej, albo pójść na dno niedołęstwa. Jeżeli zda pomyślnie, kto wie, czy nie dowiedzie z czasem, że nietylko ziemianin nasz potrafi stwarzać spółki i trwać w nich, ale nawet, gdy one zaczną sobie bruździć, zdoła je dla wyższych celów gospodarczych powiązać w doskonalsze ogniwo — kartelu. Prawdopodobnie wszakże, przy naszem znanem żółwiem kroczeniu, jedenastu lat dalszego trwania spółki rybackiej będzie za mało na to, żeby ona spełniła tak doniosłe zadanie; najpewniejszem jest to, że ona spełni raczej rolę wzorowej pionierki w szczepieniu nowej gałęzi przemysłu u nas — i z ostatniem tchnieniem sprzęgającej ją umowy przejdzie do krainy pamiątek...

Drugą, mniej świetną próbką usiłowań asocyacyjnych na polu gospodarczem jest spółka pszczelarska w Warszawie, znana jako „Muzeum pszczelnicze.“ Wspina się ono obecnie, jak widać ze sprawozdania, na wyżynę pomyślności, leczy się z ciągów, poniesionych w rozterce wewnętrznej. Podobno „ze szczątków dawnego gmachu pozostało coś jeszcze“; dobra inicyatywa i dobra wola ludzi, chcących nieść „użyteczną pracę społeczeństwu.“ Komisya rewizyjna wykazała, że spółka, chociaż zwolna, ale otrząsa się z ciężarów, które na nią zwalili pierwotni założyciele, że jej stan finansowy ma być względnie „wcale niezłym,“ a dalsza działalność może być prowadzona skutecznie. Nie dała ona wprawdzie w roku poprzednim i sprawozdawczym żadnej dywidendy od udziałów spólników, ale otworzyła przed sobą pole rozwoju przez oczyszczenie swej hypoteki. Z ogólnego obrotu w roku sprawozdawczym 17,457 rs. dochodu i 17,240 rozchodu (łącznie z inwentarzem) zysk wynosił 216 rs. Wartość inwentarza przedstawia 9,252 rs., potrącenia zaś na jego umorzenie — 925. Za sprzedaż uli muzeum osiągnęło 3,943 rs. i z wpisowego od praktykantów — 1,292. Najsłabszą jego stroną jest brak własnego pomieszczenia, co dla spółki tak wątłej materyalnie, jest rzeczą mocno kłopotliwą. Zarząd wciąż myśli o przeniesieniu pasieki po za obręb miasta, ale w mieście chciałby mieć lokal na składy i prowadzenie nauki, ma więc tę sprawę załatwić. W czasie obrad uczestników wynurzyło się nieśmiertelne warcholstwo p. Lewickiego, który ciągle żąda zwrotu 20,000 rs. w postaci posiadanych udziałów i grozi sądem, chociaż już dawno nie jest posiadaczem przeszło połowy akcyj, a na ich reszcie ciąży areszt sądowy.

Z. A. P.

LIBERUM VETO.

Zaprzeczenie własnym doniesieniom. — Legenda o kasie wilanowskiej. — Korekta wiadomości o testamencie hr. Potockiej. — Kilka zagadkowych cyfr i jedna dziwna tajemnica filantropii.—Drogowskazy dla niej.— Instytucye przyszłości. — Skublińska w drugiem wydaniu.— Wycinanie a leczenie raka.— Najazd prasy warszawskiej na Łódź. — Kwaśny uśmiech *Dziennika łódzkiego*. — Nietknięta żyła.

Dziwna jest ta nasza reporterya dziennikarska! Sypiąc ze swego worka nowiny, każe nam je wszystkie spożywać jako ziarna prawdy, ale jeżeli je zachowasz i później chleb z nich wypieczesz, sama ona krzyczy na swój materyał, że to są plewy. Kiedy niedawno zmarł nagle kasyer czy plenipotent hr. Augustowej Potockiej, dzienniki doniosły, że znaleziono u niego w kasie 35, wyraźnie trzydzieści pięć milionów rubli, które należały do jego pani. Dziś, kiedy niektóre pisma obliczyły majątek zmarłej, która oprócz gotowizny pozostawiła rozległe dobra, na kilkadziesiąt milionów rubli, ci sami „dobrze poinformowani“ drwią z tej przesady, twierdząc, że całkowita spuścizna nie dochodzi 3 milionów rubli. Nie dość tego, zrobiono jeszcze ciekawsze sprostowanie. Wszakże wszyscy czytaliśmy nazajutrz po otwarciu testamentu, że ogół legatów dobroczynnych wynosi około 50,000 rs.; tymczasem teraz dowiadujemy się, że same upominki jednorazowe dla oficyalistów i sług „pochłoną około 375,000 rs. kapitału.“ Co robiła reporterya w sądzie, kiedy czytano testament? Opowiada ona nam obecnie nietylko rzeczy niespodziewane, ale wprost zdumiewające. Tak np. klucz wilanowski, obejmujący, oprócz Wilanowa, folwarki: Służew, Wolice, Zastaw, Powsin, Powsinek, Augustówkę, Olechów, Moczydła, Zawady, Żabieniec, Kępę, Kabaty, Chojnów, Wawer i inne, razem przestrzeni 14,621 morgów, ma swym czystym dochodem rocznym „zaledwie wystarczać na utrzymanie gracyalistów, pałacu i parku.“ Dziw nad dziwami! Dobra blizko 500 włókowe tuż pod Warszawą, mające samej ziemi ornej 150 włók, a lasu 226 przynoszą tak skromną rentę, że obecny ich dziedzic hr. Branicki będzie miał tylko kłopot rozdzielania jej między służbę! Zaiste trzeba wielkiego poświęcenia, ażeby przyjąć taki spadek!

Dalej według wiarogodnych informacyj hr. Potocka miała dochodu w ostatnich latach 230,000 rs. rocznie; z tego na potrzeby osobiste wydawała 12,000, a na cele dobroczynne 130,000. Pomijając, że 12 a 130 daje dopiero 142, a nie 230 tysięcy, zapytam każdego rozsądnego mieszkańca Warszawy, znającego jej stosunki, „czy jest podobieństwem, ażeby 130,000 rs., wydawanych corocznie na cele dobroczynne przez jedną osobę, ukryło się przed wzrokiem opinii publicznej tam, gdzie ludzie wiedzą na trzy miesiące naprzód, kto ma się podać do rozwodu, kto zacznie pisać komedyę lub wyprawi kolacyę z winem kaukazkiem? Zresztą taka ogromna suma, wpływająca corocznie do społeczeństwa ze źródła filantropijnego, wyrażałaby się jakimiś poważnymi objawami i pozostawiłaby po sobie trwałe ślady. Ani tych objawów, ani tych śladów — prócz jednorazowych ofiar na szpitalik dziecinny i kościół przy ulicy Dzielnej — nie widzieliśmy. Wolno więc przypuścić, że obecnie dokonywa się jakaś życzliwa pozgonna korekta dobroczynności hr. A. Potockiej i że jeżeli pisma szacujące jej majątek, wpadły bezwiednie w jedną przesadę, to szacujące jej filantropię popełniają świadomie daleko większą drugą.

Dlaczego my tę sprawę podnosimy i dlaczego wogóle zajmujemy się testamentem i spuścizną hr. Potockiej? Dlatego, że niektóre pisma powołały nas, całe społeczeństwo, do szczególnej dla niej czci i wdzięczności. Kazano nam uwierzyć, że zmarła należała do postaci wyjątkowo szlachetnych, podczas gdy, jeżeli była wyjątkiem, to co najwyżej śród arystokracyi polskiej, bezprzykładnie samolubnej i ograniczonej. Pomyślmy tylko, czem jest kilkudziesięciotysięczna ofiara naszej milionerki na instytucye publiczne wobec darowizny ks. d'Aumale, wobec fundacyi Hirscha lub bogaczów amerykańskich, którzy dają po kilkadziesiąt milionów dolarów na zakłady użyteczności społecznej!

Majątek, zwłaszcza odziedziczony, jest rzeczą przyczepioną do człowieka przypadkowo; zdaje nam się jednak, że on powinien wytwarzać odpowiednie ambicye. Sądzimy, że milioner — jeżeli wogóle myśli o swem społeczeństwie — powinienby pragnąć olśnić je czemś wspaniałem, utrwalić się w jego pamięci jakąś ofiarą, jakąś instytucyą wielkiej wartości, budzącą wdzięczność potomnych. Jeżeli tego nie czyni, jest w oczach naszych mniejszym od biedaka. Otóż hr. Augustowa Potocka takich wysokich ambicyj nie miała.

I gdzież byśmy chcieli skierować jej bogatą rękę? Niejednokrotnie bywałem zapytywany, a nawet obecnie wezwany jestem do udzielenia rady, jakie instytucye u nas zasługują przed innemi na pomoc osób, pragnących zużytkować swój majątek dobroczynnie. Otóż często dawniej a dziś szczególnie polecam szpitale. Są to bowiem zakłady bardzo biedne, nietrwoniące i niezmieniające przeznaczenia powierzonych im funduszów. Każdy z was, czytelnicy, słyszał o ich niedostatku, ale kto chce go poznać dokładnie, niech wybada ordynujących lekarzów. Tu brak środków na dostateczne odżywianie chorych, tam powietrza, tam najkonieczniejszych przyrządów i przyborów do robienia operacyi, które nieraz muszą kupować sami chirurgowie. Fundusze, jakimi rozporządza Rada miejska, nie wystarczają na potrzeby szpitalów już istniejących, a o rozszerzaniu ich, ulepszeniu lub budowaniu nowych nie może być nawet mowy. Za granicą, a także w niektórych miastach Cesarstwa zakłady tego rodzaju są wspaniałymi pomnikami miłosierdzia publicznego, zaopatrzonymi hojnie we wszystko, czego wymaga dbałość, hygiena i nauka medyczna; nasze są przytułkami ubóstwa. Nawet szpitalik dziecięcy, ufundowany przez zmarłą hr. Potocką i obdarowany przez nią tylko 3,000 rs. rocznie, powinien by zjednać sobie szczególną sympatyę filantropii. W obecnym stanie może on pomieścić zaledwie drobną garstkę chorych, podczas gdy Warszawa liczy ich legion w zimnych i wilgotnych suterenach, na poddaszach, w ciasnych izdebkach. Ludność uboga, posiadająca liche kąty i legowiska dla zdrowych, a nieraz zmuszona pracować po za niemi, najczęściej pozostawia chore dzieci bez żadnego dozoru, a w przybytku, któryby zdjął z jej serca tę troskę, widziałaby wielkie dla siebie dobrodziejstwo. Ofiarność więc w tym kierunku należy do najszlachetniejszych, jakie nam dziś życie nastręczyć może. Nie zapominajmy przytem, że szpital jest instytucyą najodleglejszej przyszłości. Śród urządzeń społecznych są takie, które postęp ostatnimi ciosami rozbija w gruzy; są dalej takie, które zachowują jeszcze swą użyteczność, ale już niedługo będą musiały ustąpić miejsca innym, doskonalszym; są wreszcie takie, które dalej widzącym nie wydają się wiecznotrwałymi. Tymczasem, jakkolwiek ludzkość uorganizuje się, zawsze będzie musiała utrzymywać publiczne zakłady dla chorych. A nawet, wnioskując z natury rozwoju społecznego, różniczkującego i wydzielającego ze stosunków ludzkich rozmaite ich części składowe i nadającego im oso-

bną postać, przypuszczać można, że kiedyś wszyscy chorować będą w szpitalach. Jak zaginie nauka domowa i od najwcześniejszych lat przyjdzie do szkoły, tak samo ustanie leczenie domowe. Już dziś widzimy jego zanik powolny w rozszerzaniu się szpitali na wyższe warstwy społeczne, w powstawaniu zakładów leczniczych, domów zdrowia i t. p. Jeżeli wszakże obecnie dla osób zamożnych instytucye te przedstawiają tylko pewną wygodę; dla biedaków stanowią jedyną ucieczkę w chorobie, a dla medycyny prawie jedyne pole do ścisłych obserwacyj i badań. To też kto wspiera szpitale, wzmacnia niezmiernie cenną podwalinę budowy społecznej. Niestety za mało o nich wiemy i za mało piszemy. Reporterzy, którzy chętnie wkręcają się do buduarów aktorek, do siedzib szczęścia, zbytku i rozpusty, nie przynoszą nam nowin z tych przybytków niedoli i cierpienia.

W Łodzi odkryto i Skublińską (Bednarkową), i dzieci konające z głodu „na garnuszku,“ i skład trupów niemowląt na poddaszu — słowem, *tout comme chez nous*. Widocznie Skublińska nie jest okrutną babą, ale tajemną i szeroko rozgałęzioną instytucyą. Rozbierając w swoim czasie tę sprawę, wskazaliśmy właśnie źródło złego, zaznaczywszy, iż ono samem ukaraniem winnych ani wyleczyć się, ani wykorzenić nie da. Jest to w całem tego słowa znaczeniu rak społeczny, który wycięty w jednem miejscu, wyrasta w drugiem. Usunięto Skublińską i Bednarkową, a kto wie i policzy, ile ich zostało i ile jeszcze będzie! Dopóki nie znikną kobiety, które bądź z niemożności materyalnej, bądź ze wstydu żywienia i chowania swych noworodków muszą je oddawać „na garnuszek,“ istnieć będą Skublińskie. Kwestya jest niesłychanie prosta. Służąca urodziła dziecko — co z niem zrobi, jeśli nie chce dopuścić się zbrodni? Odda jakiejś kobiecie, której płacić będzie za wyżywienie. Czy podobna zaś przypuścić, ażeby ta przedsiębiorczyni, trudniąca się zawodowo wychowywaniem niemowląt za liche wynagrodzenie, była opiekunką idealną, uczciwą, dbałą o ich zdrowie, a obojętną na zyski własne? Tylko wielka naiwność może się łudzić taką wiarą. Nie potrzeba zaś wcale domniemywać się w Skublińskich jakiegoś szczególnego zwyrodnienia moralnego, jakichś dzikich instynktów, jakiegoś zwierzęcego okrucieństwa, ażeby wytłomaczyć sobie ich postępowanie; dość przyjąć to, że są one chciwe i zimne, a odrazu zrozumiemy, iż w tem położeniu będą zdolne do zbrodni. Im nie sprawia przyjemności zagłodzenie niemowląt, ale zarobienie na nich rubla — pół — czasem kilkanaście kopiejek. Oddawszy winne sprawiedliwości, która im wymierzy odpowiednią karę, nie mamy żadnego powodu dalej niemi się zajmować, one bowiem ani nie przedstawiają ciekawych dla nauki okazów patologicznych, ani same przez się nie wytwarzają żadnej kwestyi społecznej. Znamy je, jak anatomowie znają tkanki zraczałe: odcięli je nieraz, obejrzeli pod mikroskopem, zaznaczyli ich cechy znamienne, ale główną zagadką praktyczną pozostaje ciągle pytanie: jak uratować od niechybnej śmierci organizm, dotknięty rakiem? Podobne pytanie stoi przed nami w sprawie dzieci, utrzymywanych „na garnuszku.“ Czytelnikowi, żądającemu ode mnie odpowiedzi, przypominam, co wywiodłem dawniej, że rozwiązanie tego węzła w obecnych warunkach prawno-społecznych uważam za niemożliwe. Co najwyżej filantropia może — i powinna — zakładać przytułki dla dzieci matek biednych. Ochrony te nie usuną zupełnie „garnuszka,“ chociażby dlatego, że nie rozszerzą się do granic istotnej potrzeby, ale przynajmniej zmniejszą zło częściowo.

Jeszcze przed odkryciem Bednarkowej kilka dzienników warszawskich zapuściło swoje sieci w Łódź. „Po latach wielu i zdarzeniach wielu“ dostrzegły one, że miasto ze statystyczną ludnością i ogromną potęgą kapitału zasługuje na bliższą uwagę. Zaczęto więc wynajdywać sobie tam korespondentów, otwierać kantory itd., skutkiem czego Łódź pływa po wodach prasy warszawskiej tak pełną parą, jak nigdy. Oczywiście nie podobało się to *Dziennikowi łódzkiemu*, który dotychczas sam żeglował i łowił ryby w jeziorze „polskiego Manchesteru.“ Drwi on z tej „mobilizacyi prasy warszawskiej na bruku łódzkim“ i wyraża przypuszczenie, że nasi „przedsiębiorcy“ rozczarują się szybko, jeśli mniemali, że odkryli nową, bogatą kopalnię prenumeraty. Jest w tym śmiechu *Dziennika* dużo humoru, który pianką ust pokrywa gorzkie żale serca, strapionego widokiem cudzych pługów, worywających się w jego pole; kto wie jednak, czy on nie ma pewnej racyi. Łódź jest kopalnią, ale nie dla nowiniarzów, dla zbieraczów plotek i tej kurzawki, którą nasze pisma zwykle zmiatają do swoich szpalt. Tam wiele ciekawego materyału mógłby wydobyć badacz gospodarki wielkiego przemysłu i wielkiego kapitału oraz jego ofiar — tej żyły wszakże reporterya naszej prasy nie dotknie.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ DOMOWY W GALICYI.

Lwów, 25 stycznia.

Walka o byt przybiera najgroźniejsze formy pod strzechą chłopa i małomieszczanina galicyjskiego, którym owoce oświaty i samopomocy są prawie nieznane, a którzy giną pod obuchem systemu podatkowego i braku zarobku. Do niedawna każda rodzina wiejska zaopatrywała wszystkie swoje potrzeby, i taki stan pierwotny istnieje dotąd w wielu wsiach Galicyi wschodniej. Wogóle jednak nastąpił już podział pracy w obrębie wsi (rzadziej okolicy). Jeżeli gdzie brak był pewnych artykułów, a inne wytwarzano w nadmiarze, powstawał handel wymienny, istniejący do dziś np. w okolicy Brodów, Złoczowa, Kamionki Strumiłowej itp., skąd wywożą brykami garnki na Podole, sprzedając je gospodyniom za trochę zboża, grochu, hreczki itp. Naturalnie że wcisnęli się i tu pośrednicy, wyzyskujący wytwórcę i kupujących. Z czasem umiejscowiono zbyt towarów na rynkach, będących środowiskami poszczególnych gałęzi przemysłu domowego, z zachowaniem zwyczajów i tradycyi ludności bardzo u nas mieszanej. Różnice to zacierają się z dniem każdym pod wpływem coraz gęstszych sieci kolejowych; natomiast wskutek uszczuplenia się gruntu, niewystarczającego już na wyżywienie całej rodziny, ten lub ów rodzaj przemysłu staje się głównem źródłem zarobkowania. W siódmym dziesiątku obecnego stulecia wreszcie i u nas zaprzestano lekceważyć go. Powoli zaczęło się wyłaniać i umacniać przekonanie, że przemysł rękodzielniczy jest „jedną z tych silnych dźwigni, za pomocą których możemy podnieść dobrobyt ludności w kraju.“ Nadmiar sił ludu, marnowanych u nas z bezprzykładną lekkomyślnością, zwraca się w kierunku tej produkcyi, mającej wytworzyć na miejscu spożywców dla płodów surowych i przerobów, których Zachód nie potrzebuje, a Wschód nie puszcza. Sejm, który z urzędu ma powierzoną sobie opiekę nad przemysłem, błąkał się długo po manowcach w drodze od „komitetu doradczego do spraw rękodzielnictwa i przemysłu domowego“ (1877—80) do „kuratoryi stałej dla spraw przemysłu domowego“ (1880—1885), a od niej do „komisyi krajowej dla spraw przemysłowych (1885—90). Była to po prostu gra w ślepą babkę, w której sami opiekunowie kopciuszka nie wiedzieli, co mu doradzać. Był to zarazem jeden ciąg natężonych usiłowań w cichej walce z rządem, który od samego początku zajął stanowisko wrogie rozwojowi przemysłu w Galicyi. Wytworzyła się więc niezgoda między władzami autonomicznemi a ministeryum, tj. czynnikami powołanymi do wspólnej pracy, niezgoda, rozpraszająca środki, zamiast je ześrodkowywać, utrudniająca kontrolę a mnożąca koszta na cele więcej biurokratyczne, niż produkcyjne. Po jednej stronie stali obywatele, obeznani z warunkami rozwoju tej gałęzi gospodarstwa krajowego, ale niewykształceni zawodowo; po drugiej urzędnicy świadomi celu i dróg przemysłu, lecz nieobeznani z potrzebami i charakterem ludności. Po nad tem góruje wszechwładnie obojętność ogółu, owa główna cecha przeciętnego galicyanina, której nie podziela jedynie organ skarbowy. Inspektorowie podatkowi śledzą bardzo pilnie rozwój przemysłu, zajmując się gorąco jego pracownikami i oceniając jego znaczenie przez nakładanie wyższych opłat skarbowych pod formą podatku zarobkowego. Tu właśnie tkwi główna przyczyna upadku rękodzielnictwa, stąd pochodzi owo ukrywanie się ludu wiejskiego z warsztatami, owa tajemniczość, właściwa mu w wymienianiu nazwisk rzemieślników. Należy więc przedewszystkiem dążyć do uchylenia nadużyć podatkowych, tamujących rozwój przemysłu domowego w samym zarodzie, zwłaszcza że władze skarbowe przez źle zastosowaną gorliwość o pomnożenie dochodów państwa obciążają opłatą zarobkową nawet zwykłe zajęcia domowe wbrew ustawie. Któż zbada przepastne paragrafy austryackiego fiskalizmu! Pomimo reskryptów, orzekających, że „zatrudnienia, wykonywane przez gospodarzy gruntowych tylko przez krótszą część roku, a przedstawiające zarobek uboczny, jak tkactwo, koszykarstwo, kołodziejstwo, garncarstwo, ciesielstwo itp., nie podlegają podatkowi zarobkowemu“ — skarb nie przestaje „szykanować“ biednego ludu po wsiach i miasteczkach. Dzięki pewnej czujności w tym względzie naszej papierowej autonomii, zrobiono w ostatnich czasach wyłom w najdotkliwszej stronie władz rządowych, na niwie obrosłej chwastem fiskalizmu, i dziś — jeden tylko przytoczymy przykład — z 10,000 tkaczów galicyjskich opłaca podatek zarobkowy tylko 280. W porównaniu jednak z innymi krajami koronnymi Galicya świeci zawsze wobec państwa pustką. Kiedy rząd opiekę nad przemysłem postawił w rzędzie naczelnych spraw programu swej pracy — a ze środków do podniesienia go za najpierwszy uznał podniesienie przemysłowej wiedzy, nasz kraj *das passive Land*, nie mógł „wyprosić“ tego, żeby się nim tak samo zaopiekowano, jak innemi prowincyami. Przez długi szereg lat budżet państwowy w dziale szkół przemysłowych przedstawiał to ciekawe zjawisko, że były w nim reprezentowane wszystkie dzielnice, prócz jednej tylko Galicyi — a kiedy dochodził już miliona, zawsze jeszcze jako cyfra dla nas przeznaczona jaśniało piękne, okrąglutkie zero. Sejm więc zaczął sam ofiarnie w budżet *krajowy* wstawiać odpowiednie sumy, zwłaszcza na szkoły przemysłowe, uorganizował nad temi sprawami opiekę, kołacząc równocześnie u drzwi rządu wiedeńskiego. Skutek okazał, że początek był niezły. Naprzód bowiem osiągnięto tę korzyść, że ująwszy sprawy przemysłu w ręce krajowe, można niemi pokierować zgodnie ze stosunkami miejscowymi, ratując rodzime właściwości przemysłu ludowego, które mu nadają odrębną cechę i znacznie wartość jego podnoszą. Przysłani *von Draussen*, choćby najlepsi nauczyciele, byliby je zatracili, stosując w szkołach szablony zagraniczne. To osiągnięto ofiarnością kraju. A nie stracono możności wzmożenia słabych naszych zasobów zasiłkami z funduszu państwa.

Bo oto od paru lat zaczęły się przełamywać lody wiedeńskie. Przekonano się tam powoli, że tu są warunki rozwoju przemysłu rodzinnego, który wyjdzie na korzyść państwu, bo podniesie ekonomiczną, a więc i podatkową siłę ludności. W budżecie na rok 1892 *po raz pierwszy* umieszczono jako zapomogę dla naszych szkół przemysłowych kwoty jeszcze wprawdzie bardzo niedostateczne, ale mające wielką wartość jako dowód zwycięstwa własnej ofiarności nad uprzedzeniami i obojętnością biur ministeryalnych. Trzeba także zaznaczyć, że około podniesienia przemysłu domowego zasłużyły się poniekąd niektóre rodziny szlacheckie, np. Czartoryska (koszykarstwo), Fedorowicz (kilimkarstwo), Dieduszycki itd.

Do najbardziej u nas rozgałęzionych należy przemysł tkacki. W wioskach podkarpackich, gdzie ziemia zdatna pod uprawę lnu i konopi, gdzie obfitość wody sprzyja bieleniu przędzy i płótna, a zima trwa dłużej niż na równinach, ludność wiejska, od prac rolnych wolniejsza, zajmowała się oddawna tkactwem. Górale roznosili swe „cwilichy“ i „dryle“ szeroko po kraju, a choć nie mogły się one równać pod względem cienkości i białości z płótnem zagranicznem, trwałością i czystością przędzy konopnej je przewyższały. Kształceniem młodych pokoleń, rozpowszechnieniem nowych przędzalni, ułatwieniem kredytu itp. środkami możnaby ten przemysł ulepszyć i ułatwić współzawodnictwo z towarem fabryk obcych. Niestety, nie zrobiono nic w tym kierunku, kwitnący dawniej przemysł tkacki podupadł zupełnie. Z każdym rokiem zmniejszała się ilość krosien i warsztatów z powodu uszczuplenia się odbytu na wyroby domowe. Przyczyniło się do tego w znacznej mierze współzawodnictwo fabryk. Stanowczy cios zadało przemysłowi naszemu zaprzestanie przez skarb państwa zakupywania za pośrednictwem „komisyi mundurowej“ w Jarosławiu płótna na potrzeby wojska i zaprowadzenie centralizacyjnego systemu dostaw dla armii za pomocą wielkich przedsiębiorstw. Wskutek nagłej obniżki popytu na domowy wyrób płócien okoliczna ludność nie znalazła nowych dróg zbytu, a ubożejąc z dniem każdym, wpadła w stan zależności od pośredników handlarzy, którzy dostarczając jej materyałów surowych na kredyt po cenach wygórowanych, zakupowali hurtownie jej wyroby za bezcen.

(D. n.).

GIEŁDY ZBOŻOWE.

Pomimo ciągłego przypominania sobie, iż jesteśmy narodem nawskroś rolniczym, zajmujemy dotąd bardzo skromne stanowisko pod względem udoskonaleń technicznych w produkcyi rolnej, w handlu zaś zbożowym wytwórcy nasi i przedsiębiorcy są zaledwie skromnymi chudopachołkami, zapędzonymi przez organizacyę spekulacyjną do prostszych robót wszechświatowej machiny wymiennej. Podczas gdy za oceanem i na zachodzie Europy istnieją tak zwane terminowe giełdy produktowe, skupiające w swem wnętrzu cały handel i odczuwające najmniejsze jego tętna, u nas — wszystko załatwia przekupień, który trzyma w swej silnej i brutalnej dłoni wytwórców i leży całym ciężarem swych operacyj na barkach spożywców. Zobaczmy, jak wyglądają te giełdy tam, gdzie organizacya handlu względnie do obecnych warunków jest doskonalszą. We wspaniałych gmachach, połączonych drutami telegraficznymi i telefonicznymi z całym światem, pracują setki ludzi, notują spływające ze wszystkich krańców kuli ziemskiej wiadomości o cenach, „konjunkturach,“ robią obliczenia na przyszłość. W tych *wyczuwalniach* życia handlowego każdy interesowany może się dowiedzieć, jakie będą przypuszczalne ceny za miesiąc, dwa, lub pół roku i stosownie do tego się przygotować. W Nowym Yorku między wielu innemi działa jednocześnie sześć takich giełd olbrzymich (Stock, Cotton, Produce, Coffee, Metal i Consolidated Exchange). Kilka cyfr da pojęcie o ogromie dokonywanych tam tranzakcyj: Na giełdzie bawełny w dostawie terminowej 1890 r. obrót wynosił 27,037,700 bel, tj. 3½ razy więcej, niż daje najpomyślniejszy całoroczny zbiór bawełny w Stanach Zjednoczonych! Na giełdzie produktowej obrócono 4,240,975 beczek mąki, 1,238,425,000 buszli pszenicy, 431,126,000 buszli kukurydzy, 129,520,000 buszli owsa, 15,280,700 beczek łoju. Zważmy, iż rok 1891 nie należał do bardzo pomyślnych w ruchu giełdowym; naprzykład w okresie pomyślniejszym (r. 1888) obrót pszenicy wynosił 1,557,141,500 buszli, czyli trzy razy więcej niż dały zbiory tego ziarna w całej Unii. W Europie każde większe miasto handlowe posiada takie giełdy terminowe, w których operacye załatwiane są w różny sposób. Codzień tam się odbywa kupno i sprzedaż po cenach publicznie notowanych. Jedne załatwiają tranzakcye na dostawę znacznych zapasów towaru bez zaliczek lub kaucyj hypotecznych, drugie, bez materyalnej poręki. Naturalnie ważną sprężyną w tej maszynyeryi jest mekler, bez którego żadna giełda obyć się nie może.

Wobec tak urządzonego mechanizmu handel na całej kuli ziemskiej musi się stosować ściśle do jego obrotów, w przeciwnym razie wykluczeni z tej organizacyi ponoszą straty. My właśnie należymy do wykluczonych i skutki tego odosobnienia czujemy już dziś dotkliwie. Nietylko bowiem Królestwo, ale wogóle cała Rosya nie posiada wcale terminowych giełd zbożowych skutkiem tego: gdy jeszcze w czerwcu roku zeszłego nad znaczną przestrzenią państwa zawisło widmo głodu, wytwórcy, pośrednicy i kupcy w prowincyach szczęśliwszych pod względem urodzaju, nie o tem nie wiedząc, zawarli umowy z zagranicą. W parę miesięcy później rozpoczęło się gwałtowne poszukiwanie zboża dla głodnych; przepłacano w miejscach, gdzie była skąpa ilość ziarna, nie wiedząc o tem, że nieco dalej skupiły się większe zapasy. Wysłańcy miast i ziemstw jęli na oślep szukać zboża, zasłyszawszy, iż można go dostać na Podolu lub na Kaukazie. Sfery administracyjne musiały się uciec do zatrzymania wywozu za granicę, a sprytni i zasobni spekulanci, zrozumiawszy doskonale położenie, zrobili na swych obrotach takie majątki, o jakich jeszcze za lat sto będą krążyć legendy. Gdyby istniały giełdy, to skarb państwa, czy ziemstwa, jak słusznie zauważył p. Werner w *Ateneum*, „zamiast wydawać miliony, jako zadatki na zboże, potrzebne do siewu i na wyżywienie ludności głodem dotkniętej, kupowałyby 'odpowiednie terminy na giełdach wewnętrznych, mianowicie na tych, które najkorzystniejsze posiadałyby notowanie i geograficznie odpowiednie miałyby położenie. Podnosząc notowanie na terminy odleglejsze, skarb już przez to samo wstrzymałby wywóz za granicę... W braku giełdy terminowej my nie mamy środka asekurowania się od zniżki, a zagranicą ten środek istnieje.“

P. Werner pierwszy u nas kładzie tak silny nacisk na potrzebę utworzenia tej instytucyi, regulującej handel i rozjaśniającej „konjuktury“ nietylko obecne lecz i przyszłe. Giełdy terminowe mogą mieć dla wytwórcy rolnego i handlarza takie znaczenie, jak przepowiednie atmosferyczne, z tą tylko różnicą, że wróżby giełdowe zawsze są wierniejsze, a więc dające możność regulowania interesów według tych cennych wskazówek. Dotychczas u nas jedynym niemal punktem wyjścia na przyszłość jest giełda hamburska (lub jakakolwiek inna pobliższa), która jednak częstokroć w bardzo wielki błąd wprowadza zarówno wytwórcę jak i nabywcę i zmusza ich do rozmaitych wybiegów, nie zgodnych ani z zasadami handlu (jeżeli istnienie takich pod względem etycznym uznać można), ani uczciwością. Wszelkie tranzakcye odbywają się pokryjomu, według widzimisię *zwyżkowców*, bo tacy u nas tylko istnieją (po za obrębem tranzakcyi z wytwórcą), wbrew życzeniom spożywców, którzy w duszy są *zniżkowcami*. Temu przypisać można nagłe podnoszenie się cen, bez żadnego stopniowania i bez żadnych widocznych przyczyn. Stąd właśnie pochodzi nadmierne nagromadzanie się zboża w pewnych punktach lub jego brak w chwili największego pożądania. Czy jednak założenie produktowej giełdy terminowej w Warszawie przy obecnych warunkach jest możebne? P. Werner, gruntowny znawca przedmiotu, przypuszcza, iż na to ułatwienie, zastosowane od dawna gdzieindziej, długo jeszcze czekać będziemy z powodów następujących: nizki stopień wykształcenia handlarzy zbożowych nie pozwala im ocenić korzyści z otwartego załatwiania interesów tego rodzaju, gdyż samo już uczęszczanie na giełdę zmusiłoby wielu do zrzeczenia się pokątnych niepodatkowanych czynności. Niezależnie od tego dość ważną przeszkodą jest brak odpowiednich składów dla zboża i mąki, brak magazynów, w których składowe, asekuracya, tudzież inne koszty nie stanowiłyby tamy dla dłuższego przetrzymywania produktów. Wreszcie brak wielu środków niezbędnych do zorganizowania tak złożonej maszyneryi: meklerów zdolnych oraz stosownej liczby domów handlowych, kupujących i sprzedających produkty rolne. Brak nadto jeszcze wielu innych urządzeń pośrednich: szybkiego stosowania w produkcyi rolnej wszelkich ulepszeń technicznych, brak kredytu dogodnego dla rolników, którego konieczność zaznaczył niedawno p. Delilin w petersburskiem Towarzystwie wolno-ekonomicznem; brak wzorowej komunikacyi kołowej i elewatorów, urządzonych w taki sposób, jak w Ameryce, za których pomocą wytwórca rolny bierze bezpośredni udział na rynkach pierwszorzędnych. Tylko wtedy, gdy się uda nam wszystkie te udogodnienia posiąść w całości będziemy mogli zająć miejsce kółka, zgodnie obracającego się z olbrzymią maszyneryą, opartą na podstawach warunków obecnych—wszechświatową organizacyą wymiany. Wówczas może i spożywcy, wolni od wpływów zgrai spekulantów i przekupniów, poczują względną ulgę.

Zenon Pietkiewicz.

PRZEMYSŁ I HANDEL.

Wywóz jaj. W Kielcach, jak donosi organ miejscowy, czterech przedsiębiorców trudni się wyłącznie wywozem jaj za granicę. Jeden z nich, najobrotniejszy, działa podobno jako komisyoner berliński, pobierając po kopiejce od kopy. Wywóz trwa mniej więcej od kwietnia do listopada i dochodzi tygodniowo do 7, 8 wagonów, rocznie zaś — do 250, czyli 79,200,000 sztuk, wartości przeszło *pół miliona* rubli. Handlarze kieleccy wysyłają agentów i oficyalistów, którzy skupują znaczne ilości jaj z drugiej lub trzeciej ręki, najczęściej jednak towar przechodzi przez cztery lub pięć rąk, zanim się dostanie do hurtownika głównego. Najpierw przekupnie wędrowni skupują towar od włościan po kilkanaście sztuk, chodząc od wsi do wsi, od chaty do chaty i następnie odwożą je do kupca w większej wsi lub małem miasteczku. Ten znowu odstępuje już znaczniejsze zapasy hurtownikowi, mieszkającemu zwykle w mieście powiatowem. Stamtąd jaja dostają się do jednej z kilku agentur wywozowych w Chmielniku, Stopnicy i innych miejscowościach, które wreszcie dowożą towar do Kielc. Jak widzimy, handel ten przybrał ogromne rozmiary i czerpie towar

wyłącznie z pod strzech włościańskich. Ponieważ szereg pośredników jest długi, a każdy z nich musi coś zarobić, można mieć pojęcie, jak tanio lud zbywa jaja i jak drogo płacą za nie spożywcy. Szkoda, że właściciele ziemscy, tak głośno i często wyrzekający na niedobory w rolnictwie, zupełnie dotąd lekceważą hodowlę drobiu i handel jajami.

— Podmiejscy właściciele wiatraków przechodzą obecnie okres niebywałego zastoju. Pewną liczbę wiatraków, wobec współzawodnictwa młynów parowych, na czas krytyczny zupełnie zamknięto.

— Handlarze bydła stepowego, korzystając z mroźnej pory, nadsyłają od dwóch tygodni do Warszawy i innych większych miast Królestwa większe zapasy mięsa wołowego; natomiast zmniejszył się dowóz żywych sztuk, których transport jest znacznie droższy od przesyłki mięsa. Agenci owych dostawców porozumiewają się z tutejszymi rzeźnikami w sprawie stałego odbioru mięsa. Jeżeli podpisze się na ich warunki większa liczbą odbiorców, to handlarze bydła stepowego zamówią w jednej z tutejszych fabryk kilka specyalnych wagonów do przewozu mięsa nawet w porze letniej. Oprócz powyższego produktu, nadchodzą z gub. chersońskiej znaczne transporty baraniny.

— Z powodu drożyzny, a poczęści z braku kartofli, tegoroczna produkcya gorzelnicza będzie znacznie mniejszą niż zeszłoroczna. Większość gorzelni w guberniach: warszawskiej, piotrkowskiej i kaliskiej, kampanię, przeciągającą się zazwyczaj do marca, teraz już zawiesza.

Z rynku.

Kartel cukrowniczy. Obecnie ważą się losy syndykatu cukrowników rusko-polskich. Najwytrwalsi monopoliści, którzy upierając się przy kartelu z interesu osobistego, może bezwiednie chcą odegrać rolę posłanników nowej postępowej ery kierownictwa wielkiej produkcyi, dokładają wszelkich sił, żeby nietylko swój związek utrzymać nadal przy życiu, ale nadać mu charakter urzędowo uznanej instytucyi. Do nowych układów przystąpiło dotąd 147 cukrowni, czyli około $^2/_3$ ogólnej ich liczby w państwie, dla zjednania zaś pozostałej reszty opornych zalecają szereg następujących wędek: Gdy jedna z cukrowni targowała się długo o ostateczną cyfrę swej produkcyi w razie przystąpienia do syndykatu, zyskano ją dla niego w ten sposób, że w zamian za zgodę na unormowanie produkcyi otrzymała tajemne zezwolenie na dodatkowe wyprodukowanie ponad normę 8,000 pudów. Gdy pewien cukrownik dotychczas wzdragał się przystąpić do układów z monopolistami, otrzymał od jednego z członków syndykatu w Warszawie list takiej treści: „Jestem gotów poczynić starania, żeby syndykat zgodził się na przyznanie panu normy 65,000 pudów mączki cukrowej i radzę zgodzić się na te warunki, w przeciwnym bowiem razie stworzysz pan sobie sytuacyę wielce niedogodną, nietylko dlatego, że od pana nie będą przyjmowane świadectwa wywozowe, lecz jeszcze dla tego, że w chwili obecnej łatwe jest przeprowadzenie takich projektów, które bardzo niekorzystnie odbić się mogą na interesach cukrowników, powstrzymujących się od udziału w syndykacie.“ Co należy rozumieć pod groźbą sytuacyi „wielce niedogodnej“ i „bardzo niekorzystnego“ wpływu na interesy upartych zwolenników wolnego współzawodnictwa? Ma się rozumieć, iż cały szereg takich środków, którymi kartelowcy zwalczać będą opornych, środków w rodzaju „czarnej księgi,“ gdzie wpisani oni zostaną na listę kandydatów, przeznaczonych do połknięcia przez mocarzy monopolu. Do tego oręża na śmiałków dołączy się z czasem inna jeszcze broń pomysłu jednego z „królów cukrowniczych,“ pana Tereszczenki, który ją niebawem może ukuje. Orężem tym będzie cukrownia „korsarska,“ którą on zamierza zbudować, a jej bateryę wyceluje w przeciwnika współzawodniczącego. Placem walki ma być powiat wasylkowski (gub. Kijowska), tam też usypany zostanie szaniec monopolu i nastąpi spotkanie. W tym celu „nabab“ zakupi czy już zakupił spory obszar ziemi w okolicach Białej-Cerkwi (o 25 w. od niej), rozwinie na nim własne plantacye buraków i — obok stawu grobla — dźwignie ową cukrownię-karcicielkę. Zje ona niechybnie luzaka szkodliwego.

Kto zna dzieje nowoczesnego monopolu w łonie wielkiej produkcyi zagranicznej, jego proces powstawania, walk z nieprzyjaznymi żywiołami społeczeństwa, jego morfologię, temu środki używane przez naszych kartelowców nie wydadzą się tak bardzo wołającymi o pomstę do sprawiedliwości ziemskiej, chyba, że krzykaczem będzie przedstawiciel drobnej własności i produkcyi, wyraziciel dążności małego mieszczaństwa i ziemiaństwa. Kartelowcy zagraniczni nie tylko przyklasnęliby radośnie pomysłowi p. Tereszczenki, ale na pokonanie żółwiów postępu przemysłowego rozporządzają specyalną kasą, której fundusze obracają na wywłaszczenie opornych monopolowi.

Wrzawa, która obecnie ze strony prasy spotyka kartelowców cukrowniczych w chwili, gdy oni odnawiają swój syndykat, pochodzi od drobnych przemysłowców i małych kupców, którzy, chętnie drapując się w płaszcz liberalizmu ekonomicznego, cofają dyskretnie swój własny interes w cień dobra spożywców, wystawionego na plan pierwszy. Trudno przeczyć, że to dobro często nie bywa brane w rachubę monopolistów, że drobiazg gospodarczy miewa w niem przyjaznego sprzymierzeńca i że chętnie apeluje do niego, jako do ostatniej instancyi, ostatniej deski zbawienia; ale mniej są winni tutaj sami kartelowcy, niżeli niedostateczny rozwój ich związku i w znacznej mierze — przeciągnięcie struny protekcyonizmu. Nic też dziwnego, że syndykat cukrowniczy, obok niewątpliwie postępowych dążności, obfituje jeszcze w szczątki korsarstwa, dotkliwie dające się uczuwać spożywcom, że czasem mniej dba o swoje regulacyjne posłannictwo na rynku, niżeli o sztuczny chów dywidendy, na której zniżkę pochopnym jest skarżyć się, gdy tymczasem zysk jego uczestników nie przestaje być lwią częścią i obecnie dochodzi do 25%. Ale pod tym względem sprzyjają im wygodne dla nich, a zgubne dla spożywców warunki celne. „Bezpośrednio po usunięciu produktów zagranicznych (np. cła przywozowego na cukier *Przyp. aut.*) — wyznaje *Dień* — producenci za pomocą wzajemnego porozumienia się usuwają z kolei współzawodnictwo wewnętrzne z widocznym celem podniesienia sztucznego cen.“ Dopóki więc trwać będzie taki stan rzeczy, nie zbraknie powodów prasie (*Petersb. wied.*) do nawoływania, żeby w sprawie unormowania produkcyi cukrowniczej zabrał z kolei głos — prokurator sądu...

Zdaje się jednak, że to zawiłe zagadnienie rynku rozstrzygnie wkrótce specyalna komisya utworzona przy ministeryum skarbu. Przy tej sposobności *Dień* radzi paraliżować dążności kartelowców do usunięcia współzawodnictwa wewnętrznego za pomocą ułatwienia zewnętrznego, to jest, przez zniżkę cła od cukru zagranicznych wytwórców. Środek ten jest zupełnie możliwym, gdyż stosownie do wydanych w roku zeszłym przepisów celnych, ministrowi skarbu służy prawo oddziaływania na wygórowaną skalę cen cukru właśnie tą drogą.

Wobec dążności karteli zagranicznych do udostępnienia cen ich produktów dla rynków ościennych i wobec pokrewnej metody syndykatu u nas, nie tylko zniżka cła od cukru, ale jeszcze bardziej zupełne jego zaniechanie postawiłoby sprawę na poziomie dzisiejszych niemaskowanych potrzeb przemysłu. Kartele i „trusty“ bowiem dążą do takiego podziału rynków. Jeżeli kartelizacya nasza sprawia to, że po za cieśniną Kaletańską hodowca już tuczy trzodę chlewną cukrem naszym, to czemużby u nas przynajmniej spożywca ludzki nie mógł osładzać swojej doli tańszym cukrem syndykatów francuskich?

Ceny bieżące. Piotrków, 22 stycznia. Korzec żyta rs. 8, jęczmienia 5,25, gryki 5,50, grochu 9, owsa 3,55. Pud zwyczajnej mąki żytniej rs. 2,20, pszennej 2,20. Garniec kaszy jęczmiennej 30 kop., gryczanej 35. Korzec kartofli rs. 3,10, funt chleba pytlowego $4^1/_2$ kop., razowego 3, pszennego 5. Funt wołowiny 12 kop., cielęciny 10, wieprzowiny 12. Kwarta masła 75 kop., funt słoniny 18. — Robotnikowi pieszemu płaci się dziennie 40 kop., z wozem jednokonnym o 15 p. ładunku 25-pudowym — 2,30.

— Warszawa, 27 stycznia. Dążność targu (na Pradze) była spokojna. Dowóz zboża wynosił 19 wagonów (4 żyta, 8 owsa, 4 jęczmienia i 3 kukurydzy). Za żyto wyborowe płacono 1,32—1,33, za średnie 1,30 — 1,31, za pospolite 1,26—1,29. Na węgiel kamienny był mocny popyt. Dostawy z kopalń są wystarczające, ale potrzeb nie przekraczają, a więc sprzyjają wysokim cenom. W kopalniach korzec około 55 kop., a w Warszawie, naturalnie, znacznie więcej (wagon do 95 rs.).

Rynek pieniężny. Ruble w gotówce 199,60 za 100 m., na dostawę — 199,50. (Tel. pr. *Kur. warsz.* z d. 27 stycznia).

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Prawit. Wiestnik ogłasza następujące zmiany w przepisach telegraficznych: 1) Depesze rządowe i służbowe, podane w języku sekretnym, nie powinny składać się jednocześnie z cyfr i liter, lecz wyłącznie z cyfr lub liter, mających znaczenie umówione. 2) Instytucye rządowe, wysyłające depesze z tekstem mieszanym, złożonym z wyrazów zrozumiałych i pisanych w języku sekretnym, nie są obowiązane zamykać tych ostatnich wyrazów w nawias. Rozporządzenie to stosuje się również do depesz handlowych międzynarodowych, pisanych w umówionym języku i używanych w celach czysto handlowych. 3) W depeszach mieszanych, złożonych z wyrazów umówionych i zwyczajnych, dziesięć liter wyrazu zwyczajnego uważa się za jedno słowo tak samo, jak w wyrazach, pisanych kluczem umówionym. 4) Osoba wysyłająca depeszę z kilku adresami, ma prawo pisać wszelkie objaśnienia, tyczące się depesz terminowych lub depesz ze sprawdzeniem tekstu, tylko pod jednym adresem, wszelkie zaś inne objaśnienia osoba telegrafująca winna umieszczać przy każdym oddzielnym adresie. 5) Depesze bez podpisu oznaczone są w kontroli służbowej nazwiskiem adresata, nie zaś, jak dotąd, ostatniem ich słowem. 6) Nawiasy i cudzysłowy wchodzą do liczby słów na równi z wyrazami podkreślonymi. 7) Wyrazy złożone, używane jako takie w językach angielskim i francuskim, wolno pisać łącznie. W razach wątpliwych możność pisania danych słów łącznie winna być dowiedziona za pomocą słownika. 8) Nazwy krajów i nazwiska złożone (*noms patronymique*) uważane są za tyle słów, ile ich użyła osoba wysyłająca do określenia nazwy i nazwiska. 9) Osoba, wysyłająca depeszę, podawaną w ślad za adresatem, nie może opłacać z góry odpowiedzi na taką depeszę. 10) Taksa semaforycznej depeszy obniżona zostaje do 40 kop. (1 franka). 11) W razie dostarczenia depeszy na miejsce przeznaczenia po uwiadomieniu, że depesza nie mogła być adresatowi doręczoną, stacya odbierająca winna zawiadomić o tem stacyę wysyłającą. 12) W depeszach, wysyłanych za adresatem kolejno, nazwa pierwszego miejsca przeznaczenia powinna być powtarzana w tytule, aż do ostatniego miejsca odbioru depeszy.

KRONIKA.

Odczyt. Kobieta, która się wdarła na szczyt mało dostępnego Clarence Peak'u, wzniesionego jedenaście tysięcy stóp nad powierzchnią morza, młoda, a przytem poetka i nowelistka, jedna biała w towarzystwie męża i gromady murzynów-przewodników, odważnie idąca naprzód po ska-

łach oślizgłych, przez lasy zwarte i przepaście. To przedmiot chluby naszej, rozgłoszonej na wszystkie strony świata przez trąby dziennikarskie. To też każdy, kto poszedł na odczyt Hajoty do sali ratuszowej, znał już dobrze treść jego, opowiedzianą najpierw przez bohaterkę hiszpanom, a później wielokrotnie powtórzoną w *Kuryerach*. Słuchacze więc chyba po to przyszli, aby przyjrzeć się z blizka odważnej turystce i jeszcze raz już z jej własnych ust usłyszeć opowiadanie o trudach i niebezpieczeństwach podróży, o noclegach w namiocie nad przepaściami, o bogatej, wspaniałej przyrodzie afrykańskiej i lasach dziewiczych. Treść barwna, chociaż złożona tylko z wrażeń osobistych poetycznie nastrojonej duszy kobiecej, usposobiła przyjaźnie słuchaczów dla prelegentki. *Zn.*

Sprawy społeczne. *Gazeta policyjna* donosi, iż trzydziestu właścicieli lombardów prywatnych przedstawiło p. ober-policmajstrowi m. Warszawy deklaracyę, w której obowiązują się za przyjmowanie na zastaw rzeczy wraz z opłatą za przechowanie pobierać nie wyżej nad 3% miesięcznie.

— Zarząd „jednej z fabryk" na Pradze — jak donosi *Kur. warsz.* — zamiast otwarcia miejscowej kasy zaliczkowo-wkładowej dla czterdziestu kilku pracowników, wykupił książeczki oszczędności.

— Kilka zamożniejszych osób w Warszawie przeznacza 3,000 rs. na urządzenie sali gimnastycznej. Z tego powodu rozpoczęto starania o założenie klubu gimnastyków.

— W r. z. 86-ciu żydów poddanych zagranicznych wniosło prośby do ministeryum spraw wewnętrznych o przedłużenie pobytu od 1 do 3 lat. Z tej liczby podań przyjęto zaledwie cztery i to z uwzględnieniem jednego tylko roku, jako najdłuższego terminu.

— W ciągu grudnia z gub. łomżyńskiej (przeważnie z pow. szczuczyńskiego i kolneńskiego) wyszło do Ameryki 28 osób (dwóch żydów 26 katolików). *Warsz. Dniew.* zaznacza, iż emigrują ludzie w sile wieku (20—40 lat) najzdolniejsi do pracy.

— W więzieniu kijowskiem znajduje się obecnie grupa emigrantów brazylijskich z Królestwa Polskiego. Są to przeważnie rzemieślnicy, kowale i cieśle. Do Marsylii dojechali na własny koszt, stamtąd konsul ruski wysłał ich do Odesy. Z Kijowa odesłani będą pod strażą na miejsce pochodzenia.

— Władze krakowskie zmuszają podróżnych nie mających odpowiednich legitymacyj, do szybkiego opuszczenia miasta.

Szkoły. W wyższej szkole handlowej imienia Leopolda Kronenberga w Warszawie od przyszłego roku szkolnego wprowadzona będzie nauka języków: perskiego i tureckiego.

— Wkrótce w Petersburgu otwarta będzie szkoła rękodzielnicza, w celu przygotowania specyalistów do wyrobów z *papier maché* i drzewa farbowanego.

Zjazdy. W Moskwie 1 lutego r. b. otwarty będzie zjazd handlowy kolei drugiej grupy, zwołany w celu załatwienia niektórych spraw taryfowych.

— Latem w Brukselli zbierze się kongres chirurgiczny.

Sprawy kolejowe. Dochód z pierwszych 10-ciu miesięcy r. z. z eksploatacyi kolei skarbowych przewyższa dochody za takiż czas r. 1890 o 5%, czyli o 1,134,943 rs.

— Dla ułatwienia pracy urzędnikom wydziału taryfowego i kontroli 1-ej przy znacznych wyliczeniach, zarząd kolei wiedeńskiej zakupił dwa arytmometry najświeższej konstrukcyi, nader łatwe w użyciu. Koszt jednego przyrządu wraz z sprowadzeniem nie przenosi 100 rs.

— Kolej Wiedeńska miała w ubiegłym roku dochodu ogółem rs. 10.497,863 kop. 15, a zatem w porównaniu z r. 1890-ym więcej o rs. 112.524 kop. 93. W tym okresie przewiozła 2,225,090 pasażerów (więcej o 9,940 w porównaniu z r. 1890-ym) i towarów 165,838,433 pudów (więcej o 4,098,705 pudów). W porównaniu z r. 1890-ym dochody zmniejszyły się: za przewóz pasażerów i bagaży o rs. 13,265 kop. 25, oraz z innych źródeł o rs. 112,387 kop. 13.

— *Piet. wied.* donoszą, iż w ministeryum komunikacyi powstał projekt utworzenia na kolejach nowych posad „naczelników pociągowych" z odpowiedniem wykształceniem technicznem. Zarządzaliby oni służbą pociągową, nie wyłączając maszynisty. Nowość ta ma na celu powiększenie bezpieczeństwa pasażerów.

— Z powodu otwarcia nowej linii telegraficznej na kolei Nadwiślańskiej, skład osobisty telegrafistów na niektórych stacyach głównych postanowiono zwiększyć.

— W celu emisyi obligacyj kolei Moskiewsko-Kazańskiej tworzy się syndykat złożony z trzech banków i jednego kapitalisty. Ogólna suma obligacyi ma podobno wynosić 40 milionów.

— Z polecenia departamentu do spraw kolejowych, wydalenie się urzędników stacyjnych z miejsca pełnienia służby bez zezwolenia władzy naczelnej, ma być nadal surowo wzbronione. Zakaz ten dotyczy odpoczynku 48-godzinnego po 24 godzinach służby. Pozwolenia na wyjazd z miejsca urzędowania należy żądać telegraficznie u naczelnika ruchu.

Konkursy. Na konkursie odeskim na projekt gmachu giełdy otrzymał drugą nagrodę p. Gustaw Landau, architekt z Łodzi.

Wiadomości literackie. Wyszła w Odesie na rzecz ludności, dotkniętej głodem, książka zbiorowa pod tytułem „Odgłos." Między innemi jest tam artykuł pani Maryi Saker: „Poezya prawdy," poświęcony Orzeszkowej.

— We Lwowie niezależnie od Koła literackiego powstał związek literacki.

Odznaczenie. Uniwersytet genewski przyznał 500 fr. nagrody p. Teodorze Krajewskiej, warszawiance, za rosprawę fizyologiczną: *La réaction de dégénérescence.*

Bibliografia. Dr. P. Wagner. *Racyonalne nawożenie roślin gospodarskich*, z illustracyami, tłom. S. Rewieński, Warszawa.

— Księgarnia wydawnictw tanich pomnożyła swój zbiór dwiema książeczkami: pierwsza P. Sosnowskiego *Brazylia*, jej przyroda i mieszkańcy, będzie pożyteczna dla ludu, ale druga, R. M. *Egipcyanie*, ich religia i urządzenie społeczne przed *tysiącami lat* — doprawdy nie wiadomo, dla kogo została przeznaczona.

— W. Kosiakiewicz, *Gąsiorkowski*, powieść, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— A. Czajewicz, *Trygonometrya płaska i kulista*, (Bibl. matem. fiz.), str. 392, Warszawa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu W. Kr. w Warszawie. Pisać pięknie umie talent, pisać poprawnie może każdy. Trzeba tylko wykształcić się znajomością gramatyki, stylistyki i autorów wzorowych. Nie możemy tu wykładać wszystkich zasad, ale damy dwie przestrogi: jeżeli Pan zdołasz pisać bez przypadkowych rymowań (ości—ości); bez częstego powtarzania tych samych wyrazów, możesz uważać się za dobrego stylistę — w Warszawie. Tam, gdzie np. uczony publicysta nie gardzi takiem wyrażeniem: „pozwalamy sobie *zwrócić uwagę* na to, że należałoby *zwracać uwagę*" (oj, należałoby!), gdzie inny (przysięgły estetyk) powiada: „Starania o takie zadania zdradzają wiele pilności, ale podniosłości nie stanowią, która rodzi się z przejęcia się" itd. — tam, mówimy, wymagania są niewielkie.

Z. O. Gdybyśmy zapytali, czy Pani kupi od nas i za jaką cenę coś, co przywieźliśmy z Pragi czeskiej— pytanie takie uważałaby Pani za bardzo dziwne; jakże my możemy odpowiedzieć, czy zamieścimy kilka nowelek z czeskiego i na jakich warunkach?

Zwolennikowi „Prawdy." Jeżeli dzisiejszy nasz fejleton nie daje Panu pożądanej wskazówki, to prosimy o adres dla odpowiedzi listownej.

N. Fantazya pańska jest zaledwie notatką, a nie utworem artystycznym.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 17 Января 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.